Świat Kobiecy



15 MARCA 1930 R.

ROK X N-R 6

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 6 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 MARCA 1930 ROKU

PORADNIE MAŁŻEŃSKIE

W ostatnich czasach bardzo dużo mówi się i bardzo dużo się pisze zarówno o położeniu kobiety, jak i zagadnieniu małżeństwa. Zwłaszcza w Niemczech pojawiło się całe mnóstwo książek, z których niektóre (np. „Die vollkommene Ehe") zdobyły sobie olbrzymie powodzenie dzięki poruszeniu bardzo drażliwych problemów seksualnych w sposób zupełnie bezceremonjalny. Wychodzi teraz nawet kilka pism specjalnych (np. „Aufklärung", „Die Ehe"), które operują w dziedzinie sensacyj życia erotycznego. Publikacje tego rodzaju propagują jakąś mętną ideologję i twierdzą, że chodzi im o zwalczanie bezwstydnej anarchji erotycznej, która wytworzyła się po wojnie na całym świecie. Nie zaniedbują jednak przytem wszelakiej pikanterji, a zwłaszcza bardzo starannie wykonanych i bardzo nieprzyzwoitych ilustracyj.

Trudno nie dostrzec, że ten cały ruch jest co najmniej w trzech czwartych zwyczajną pornografją, zamaskowaną pod płaszczykiem nauki i publicystyki.

Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, gdybyśmy nie przyznali, że zagadnienie współczesnego małżeństwa pogłębia się, że kształtuje się w formach nowych i wartościowych — zwłaszcza wówczas, kiedy zajmują się niem ludzie naprawdę ideowi i naprawdę bezinteresowni.

I tak dzięki inicjatywie warszawskiego Towarzystwa eugenicznego powstały niedawno t. zw.: „poradnie przedślubne" w Warszawie i Łodzi.

Starają się one urzeczywistnić ideę, która istnieje już oddawna w Ameryce i która propaguje, aby ludzie wstępujący w związki małżeńskie posiadali odpowiednie ku temu warunki fizyczne, aby owocem ich połączenia były dzieci normalne i zdrowe, nieobciążone żadnem dziedzictwem choroby nieuleczalnej albo organicznego niedomagania.

Ta nauka rozpowszechniła się już oddawna po całym świecie i, co najważniejsza, zdobyła sobie w niektórych krajach nawet podstawy prawne.

W Ameryce oboje małżonkowie, którzy nie zwrócili uwagi na należyty dobór fizyczny, mogą być karani więzieniem do lat pięciu. W Rosji, gdzie małżeństwo jest tylko formalnością, dwoje ludzi nie może się połączyć, jeśli jedno z nich jest dotknięte obłąkaniem, gruźlicą albo chorobą weneryczną. Norwegja wymaga przy formalnościach ślubnych dokładnego opisu stanu zdrowia obojga małżonków.

Pomimo tych niewątpliwych postępów eugenika nie jest jeszcze nauką popularną wśród mas szerokich. Przy zawieraniu małżeństwa najczęściej chodzi o to ile panna młoda ma posagu i jak jest sytuowany pan młody. Ale ktożby się pytał o zdrowie, ktożby był tak niedelikatny, aby się dowiadywać o predyspozycje dziedziczne w danej rodzinie? A przecież właśnie pomijanie tego rodzaju zagadnień wywołało niebezpieczeństwo karłowacenia rasy ludzkiej i doprowadzenia jej do upadku. W wielu wypadkach nieświadomość warunków fizycznych wywołuje w małżeństwie nieporozumienia, które wzrastają coraz bardziej i przeobrażają się wreszcie w katastrofę zupełną.

Poradnie przedślubne usiłują tego rodzaju konflikty zgóry uniemożliwić! Przyjmują tutaj specjaliści chorób wewnętrznych, nerwowych i wenerycznych, a wreszcie ordynują i ginekolodzy. Ci ostatni mają także bardzo wiele do powiedzenia. Przeszkodą do szczęśliwego współżycia są nietylko choroby, ale choćby niewłaściwa budowa kostna albo anomalje w wewnętrznych organach kobiety, z których wynika zupełna bezpłodność. A przecież nawet w dzisiejszych czasach dzieci są jeszcze dość często koniecznym warunkiem szczęścia...

Już pierwsze doświadczenia tych poradni przedślubnych wykazały jednak, że ograniczanie się do zagadnień zdrowia i higieny wyklucza całą sferę rzeczy ważnych i domagających się głosu. Okazało się, że publiczność odwiedzająca te instytucje rzuciła szereg pytań zupełnie nieoczekiwanych.

— Mój fach — opowiadał np. jeden z lekarzy — okazał się niewystarczającym. Musiałem przeobrażać się to w doradcę prawnego, to w księdza, to w opiekuna, a czasami nawet w bankiera.

Przychodzili tu bowiem nietylko narzeczeni, ale także małżonkowie żyjący ze sobą nieraz bardzo długo. Przynosili ze sobą sprawy codzienne i niezwykłe, nieporozumienia zastarzałe i takie, które dopiero co wynikły, przeciwności zupełne i łatwe do usunięcia.

W ten sposób zakres poradni małżeńskich rozszerza się znacznie i zyskuje dla swojej działalności nowe horyzonty. Nie zapominajmy, że żyjemy w epoce psychoanalizy. Można tedy myśleć o teoretycznem i praktycznem opanowaniu tych zaburzeń i konfliktów moralnych, które są nieraz równie groźne, jak najbardziej uporczywe choroby.

Człowiek współczesny jest większym egoistą. Nie chce cierpieć w milczeniu, nie chce poświęcać się ani rezygnować. Posiadanie szczęścia wydaje się koniecznym warunkiem życia. A kto w poszukiwaniu szczęścia zabłąkał się na manowce, ten pragnie jak najprędzej odzyskać wszystkie utracone szanse. Jeśli zaś nie umie sam należytej drogi odnaleźć, pragnie dobrej i skutecznej rady.

I to jest właśnie jakby druga, wielka dziedzina działalności tych nowoczesnych instytucyj, które starają się dopomóc dwojgu żyjącym ze sobą ludziom.

DEES

Pozostańmy już w obrębie wyrażeń i obrazów Mickiewiczowskich. Będzie nam stąd łatwiej wejść w opłotki literatury i skorygować bytujące tam od niepamiętnych czasów banały.

Wysławia się tam np. różany wiek dzieciństwa i złoty czas młodości w ten sposób, że możnaby sądzić, iż okresy te w życiu każdego mieszkańca ziemi były i są dlań obowiązkowo najbardziej urocze. Tymczasem — w istocie z d a r z a s i ę, że wtedy człowiek czuje się najszczęśliwszy, ale jakże często bywa to najczarniejsza epoka jego pobytu na tym padole! Podobnie jak wielu ludzi stwierdza, że najwięcej piołunu zawierały ich miesiące miodowe. Potem już się jakoś przywykło...

Bo na to, żeby dzieciństwo i młodość mogły być tem, czem powinny: czasem, ogniskującym w sobie wszystką promienność istnienia, erą — żeby tak rzec — promieniotwórczą na resztę życia, na to trzeba otoczyć je szczególnym k l i m a t e m (zwracam uwagę, jak wciąż poruszamy się na terenie literatury). Nie można młodej rośliny wystawiać na żar, ani na mróz. Przetrwa wprawdzie czasem, ale nie bez tego, by nie został jakiś niepożądany ślad.

I tu — znowu wracam do literatury, ale znowu w sposób tak specjalny, że nie mogę ściągnąć na siebie zarzutu... literatury, w znaczeniu oddalenia się od żywego życia — przypomina mi się, umieszczany dawniej w czytankach dla szkół powszechnych ustęp z pamiętników Franciszka Karpińskiego, w którym poeta opowiada jak, przyjechawszy do rodzicielskiego domu na wakacje, otrzymał w przytomności kolegi ni z tego ni z owego siarczysty policzek od ojca — i jak po chwili zrozumiałego zupełnie osłupienia, pocałował wiernopoddańczo tegoż ojca w zacną prawicę, za co otrzymał odeń pełne uznanie. Doskonale pamiętam oburzenie, jakie u mnie, podówczas dziecka, wywołała owa lektura. Później skasowano ten piękny i budujący szczegół. Autor czytanki był najwidoczniej zwolennikiem tego mocnego ojcowskiego régime'u (alias prawa pięści), wykonywanego w dawnej Polszcze w sposób iście assyryjski, jak o tem gęsto świadczą wspominki z tych zamierzchłych czasów. „Czy to powieść?” Żmichowskiej zawiera również takie ponure, nieludzkie naprawdę karty, które bynajmniej nie czynią wrażenia literatury wyssanej z palca. (A przecież plącze się po świecie komunał: „Dawniej lepiej bywało”...) A oczywiście „wychowawcy” ci, których należało okuć w kajdanki, albo lepiej wysłać do specjalnego sanatorjum — nie wychowywali, ani nie zamierzali wcale wychowywać swego potomstwa. Szaleli tylko bezkarnie i bezkarnie nadużywali swej władzy. Prawo powinno było wziąć udręczone ofiary w opiekę — ale nie ten był wtedy duch czasu...

Dziś jest — inaczej? Nie wiem. Dziś też „wychowuje” (jakże rozciągliwy jest ten wyraz!) dzieci ktobądź, ktokolwiek. Każdy taki, który je ma. Nie można nawet powiedzieć, że wielu jest powołanych, a mało wybranych, bo i tych powołanych jest też znikomy procent. „Miłość” rodzicielska okazała się tu gwarancją często wiatrem podszytą.

Kto może wyprowadzić małą istotkę na człowieka? Tylko c z ł o w i e k w pełnem i pięknem znaczeniu tego słowa. Wykształcenie jest tu przytem owem zerem po jedynce — zaś jedynką: charakter i intuicja.

Mam znajomą, bardzo wyrobioną intelektualnie, ze studjami uniwersyteckiemi, ogromnie wysubtelnioną w zakresie sztuki zwłaszcza, bardzo bywałą w świecie, która — wyszedłszy zamąż z miłości — najfatalniej wychowywała swych dwoje dzieci. Jej wady osobiste: snobizm, egoizm, gruboskórność, interesowność, stały na zawadzie temu, by była dobrą matką. Duszy dziecka nie znała, ani nie interesowała się nią (interesujące było dla niej — muzeum). Potrafiła pięcioletniego synka, dziecko bardzo ambitne i nerwowe, bić za nic z furją przy obcych, przy akompanjamencie wrzaskliwego łajania, a na uwagę, że uraża dziecko, dziwiła się niezmiernie, albowiem sama, jak twierdziła, nigdy sobie z żadnych karceń nic nie robiła. Gdy chłopiec doszedł lat kilkunastu, stał się skryty, bo nie miał zaufania do otoczenia. Kolegów nawet dobierał sobie tak, by ich w domu nie znano. Mimo zdolności nie uczył się. Inteligentna mama chciała go koniecznie zabrać z sobą do teatru. Namawiała: „Taka jestem ciekawa, jakie to na tobie zrobi wrażenie!” Oczywiście chłopak nie poszedł. Ten argument odstręczył go do reszty.

Kraj lat dziecinnych wówczas tylko mógłby być rajem, gdyby dusza trafiła na właściwy sobie klimat. A to jest rzecz indywidualna. Są oczywiście pewne ogólne wytyczne wychowawcze, ale te cieńsze rysy muszą być dobierane i stosowane *ad personam*. Odnaleźć je — jest sprawą intuicji. A sprawą charakteru jest stworzenie odpowiedniej atmosfery.

Moralizowanie jest dowodem słabości pedagoga — wytworzenie atmosfery jego siłą. Gadanina nie ma znaczenia, tylko fakt. Cóż pomoże ostre nakazywanie dziecku, że kłamać nie powinno, skoro mama jest w zmowie z pokojówką z powodu swego *ami*, skoro nieostrożny telefon zdradza poczynania tatusia, skoro bona nakazuje jakieś prawdy oficjalne, których sens istotny jest aż nadto znany dziecku. W domu, w którym prawdą się ż y j e, można o niej spokojnie nie mówić. Prawda wsiąkła w duszę dziecka, bo nią oddychało, bo była w a t m o s f e r z e domu.

Tak samo jest z wypełnianiem obowiązku, z zamiłowaniem porządku, czystości, ze słownością.

Voltaire uważał rodzaj nudny za najgorszy. Dlaczego tym najgorszym mamy częstować dzieci?

A moralizowanie jest bardzo, bardzo nudne.

Ważnym składnikiem atmosfery wychowawczej jest z a u f a n i e. Wytworzyć je można i zdobyć, jeśli się wejdzie w zażyłość z duszą dziecka. Oczywiście nie mam na myśli spoufalenia. Idzie o bliskie zżycie się z duszą wychowanka. Osiąga się je drogą w s p ó l n e g o r o z w a ż a n i a zjawisk życiowych. Trzeba zejść z katedry, wyrzucić do rupieciarni mentorstwo, a traktować dziecko jak młodszego przyjaciela. Oględnie i z szacunkiem. Trzeba uprzytomnić sobie, że te młode oczy oglądają sprawy życia po raz pierwszy i indywidualnie — podobnie, jak my ongiś, a przecież inaczej. Każdy krok na tej drodze zawiera problemy dla — obu wędrowców. Starszy — jeśli ma głowę i serce — będzie się starał podać młodszemu słodki owoc swych gorzkich doświadczeń. Będzie się starał — nie zawsze zdoła. Bo życie każdego człowieka jest sprawą indywidualną, inną i nową — i dlatego w gruncie rzeczy każdy jest sam i zdany na siebie.

Każdy stanowi o sobie sam.

Jednakże pedagog ma obowiązek wskazywania drogi wychowankowi. Uczyni to skutecznie tylko wówczas, jeśli uczyni z taktem. A takt to podobno inteligencja. Więc będzie ten wychowawca z wychowankiem jak równy z równym, nie jak rezonujący mędrek wobec ubogiego duchem prostaczka.

Wówczas tylko pedagog może liczyć na przywiązanie i na szacunek. Bo szacunek — jak powiedziano — jest rzeczą mimowolną... Jak każde zresztą uczucie.

A dziecko, obdarzone tak bystrym zmysłem spostrzegawczym i poczuciem sprawiedliwości, nie da swego szacunku byle komu. Trzeba nań zasłużyć osobistemi

zaletami, nie rangą rodzicielską. Niema powodu insynuować dziecku, że ono właśnie da się wziąć na kawał fałszywym pozorom. A nie wolno zmuszać, ani nawet nakłaniać dziecka do przyjmowania postawy oficjalnej.

Kilkuletni chłopczyk odezwał się w szerszem gronie rodzinnem: „Mamusia zawsze robi to, czego tatuś chce" — a na surowe spojrzenie matki, dodał zaraz: „Ale i tatuś robi to, czego chce mamusia."

Któż tu był mędrszy — kura, czy jaje?

Nawiasem powiedziawszy, zdaje mi się, że jaje powinno nawet być mędrsze od kury, bo na tem zasadza się postęp świata.

Lecz zarazem zdaje mi się, że w tak nieoględnie prowadzone dziecko wsącza się od samego zarania gorycz poznawania krętych ścieżek ludzkich — i że dziecku nie powinno się tak wyraźnie dawać odczuwać jego wyższości, bo będzie się chyba czuło bardzo samotne. Dziecko powinno mieć nad sobą autorytet, do którego odnosiłoby się z uznaniem i miłością.

Kraj lat dziecinnych powinien być „święty i czysty".

Powinien zielenić się i kwitnąć.

I powinno w nim bić „źródło żywej wody".

Po jałowych i kolących ścierniskach stąpa się później i tak dość długo.

LYNX

ROZMOWA Z IRENĄ KRZYWICKĄ

Spotykam panią Krzywicką, autorkę „Pierwszej krwi", w Zakopanem i korzystam ze sposobności, aby z nią zrobić wywiad dla „Świata Kobiecego", dla tych czytelniczek, które niewątpliwie zainteresowała śliczna recenzja p. Wyleżyńskiej, i dla tych zwłaszcza, które już zapoznały się z samą książką. „Pierwsza krew" wywołała dużo sprzecznych sądów i mówi się obecnie wiele o tym debjucie młodej autorki. Posłuchajmyż tedy o niej z pierwszego źródła.

— Jestem zawstydzona, mówi pani Krzywicka, że redakcja „Świata Kobiecego" zaszczyca wywiadem takiego „fuksa" literackiego, jak ja. Przypisuję tę uprzejmość temu, że poruszyłam w mojej książce niektóre sprawy przemilczane w literaturze polskiej i wogóle dość mało jeszcze zbadane: psychologję dojrzewania. Ta chwila, w której istota ludzka z dziecka poczyna się stawać pełnym człowiekiem, ten proces przyrodniczego przekształcenia larwy w istotę dojrzałą, to jest niewyczerpana kopalnia dla psychologa, który może tu pochwycić wiele elementów psychiki ludzkiej niejako in statu nascendi. Zwłaszcza dla współczesnego pisarza, zbogaconego odkryciami Freuda, dla pisarza któremu Proust otworzył nowe światy...



IRENA KRZYWICKA

— Więc pani zna dobrze Prousta i Freuda?

— Proust to jest pisarz, który najbardziej mną wstrząsnął. I Balzac. Freuda znam mało, ale jego „Psychopatologja życia codziennego" otworzyła mi oczy na zupełnie nowe dziedziny... Przyznaję się chętnie do tych „wpływów", bo tu przecież nietyle o pożyczki literackie chodzi, ile o nową metodę psychologiczną, którą zaledwie zaczęłam próbować niedołężnie i omackiem.

— Wydaje mi się, że ponury wieczór Jasi jest płodnym wynikiem tej metody i że jest zupełną nowością w literaturze.

— Jest to jedyna część mojej książki, z której jestem zadowolona. Wydaje mi się, rzeczywiście, że te sprawy nie były dotychczas zanalizowane i mam wrażenie, że głównie temu rozdziałowi zawdzięczam propozycję przekładu mojej książki na język francuski.

— We Francji i w Niemczech jest teraz duże zainteresowanie dla psychologji dojrzewania, nieprawdaż?

— Tak. Literatury niemieckiej zresztą nie znam, bo słabo władam językiem. U nas jednak zainteresowania w tej mierze jest mało, a zakłamania dużo. Wciąż opisuje się dzieciństwo w ckliwych, różowych barwach, stosunki dzieci z rodzicami powleka się pokostem monotonnej czułości, a całą burzliwą epokę przetwarzania się dziecka w człowieka pomija się zupełnie. Książka moja była mimowolną reakcją na ten karmelkowy stosunek do poważnych i często groźnych spraw i dlatego może niektórym wydała się okrutna. Innym znów niemoralna.

— Tak, gorszono się trochę... Ale niesłusznie. Sprawy życia fizjologicznego potraktowała pani poważnie, niemal surowo, a przy takim stosunku do rzeczy nie wolno robić zarzutu drastyczności.

— No, zapewne, nie pisałam tych rzeczy dla efektu. Ale też powieściopisarzowi, ani badaczowi nie wolno mieć fałszywego wstydu. Chodziło mi przedewszystkiem o to, aby z małego grudowskiego światka o który zaczepiłam tak przelotnie, wszystko odbywa się przecież w 24 godziny, wydobyć trochę prawdy, a że zadrażniłam przytem niektóre konwenanse, to już trudno...

— Czemu pani zamknęła akcję w tak krótkim przeciągu czasu?

— Chodziło mi przedewszystkiem o względy kompozycyjne. To moja pierwsza powieść. Bałam się jak ognia gadatliwości, rozlewności, rozpłynięcia się w zbyt bogatym materjale. Zresztą powieść moja jest pierwszą częścią większej całości. Będzie to cykl, którego rozmiarów trudno mi przewidzieć, tem bardziej że nie będzie się rozwijał w chronologicznym porządku. Każda niemal z osób występujących w tej powieści doczeka się własnego tomu. Dotychczas dorośli stanowili tylko tło dla dzieci, zostali ledwo naszkicowani. Mam nadzieję że zczasem wystąpią pełniej i wyraziściej. Powieść, którą teraz piszę, jest historją przezwyciężania miłości przez kobietę. Do dzieci powrócę w następnym tomie, gdzie zamierzam opisać szkołę. Obawiam się że i tamta książka zostanie uznana za ostrą i za okrutną. Ale to dopiero piosenka przyszłości.

— Jak przyjęto „Pierwszą krew"?

— O, nie mogę się skarżyć! Poza pochlebnemi naogół recenzjami otrzymałam dużo kochanych, miłych listów od znajomych i nieznajomych osób. Nie potrzebuję mówić,

czem jest taka zachęta dla początkującego autora. Czuję, że powiększyłam zastęp swoich przyjaciół — i czegóż jeszcze mogłabym żądać?

— Słyszałam, że pani ma małego synka. Myślała pani dużo o psychologji dziecka. Potrafi pani zapewne uniknąć wielu błędów w jego wychowaniu.

— Niestety, obawiam się, że nie uniknę żadnego. A raczej, że są błędy, które się popełnia z przyrodniczą koniecznością. Rodzice nie mogą przemienić siebie dla swoich dzieci, dzieci muszą być, zwłaszcza w okresie przełomowym, okrutne i niesprawiedliwe dla rodziców. To też mylnie zrozumieli niektórzy recenzenci mój stosunek do dorosłych w „Pierwszej krwi". Nie są ani gorsi ani lepsi od innych. Wszyscy starają się chować swoje dzieci jak potrafią najlepiej. A jednak konflikty są i muszą istnieć. No i niema w tem zresztą żadnego nieszczęścia. Cóż byłoby warte życie bez konfliktów? Dobrze jest tylko umieć je widzieć trzeźwemi nieuprzedzonemi oczyma, bo wtedy można je czasem opanować i zorganizować. Dobrze jest zwłaszcza rozumieć co się widzi...

— Pisuje pani nietylko powieści, prawda?

— Zajmuję się trochę krytyką literacką, przeważnie na łamach „Wiadomości Literackich". Napadłam kiedyś ostro na pewien typ stylu, uprawiany przez niektórych powieściopisarzy, na styl pseudo-ozdobny, sztuczny, upstrzony niepotrzebnemi metaforami, maskujący myśl, zamiast ją uwypuklać. Po takiej inwektywie dość było niebezpiecznie wziąć się samej do pisania powieści. To też dużo pracowałam nad stylem, chcąc zilustrować praktycznie moją teorję i sama poczułam jakie to trudne, jak silny jest w powieści ucisk Żeromskiego i nawet Kadena.

— Zdaje mi się, że to się pani udało. Styl pani jest surowy i nawet miejscami suchy, ścisły, niemal naukowy...

— To i dobrze. Bałam się jak ognia rozlewności, gadatliwości, łatwego patosu. Czy panią zraziła „naukowość" niektórych rozważań psychologicznych w mojej książce? Mnie się wydaje że to nic nie szkodzi. W literaturze francuskiej niezmiernie częstą rzeczą jest taki komentarz autora i wydaje mi się, że to nie szkodzi artystycznej wartości książki, często zaś może podnieść jej poziom intelektualny.

— Słyszałam jak kilku wybitnych psychologów chwaliło pani przenikliwość i dar introspekcji i mówiło, że pani książka stoi na poziomie najnowszej wiedzy psychologicznej, że może być nawet materjałem dla naukowca.

— Cieszy mnie ogromnie, jeżeli udało mi się przyłożyć jaką cegiełkę do gmachu współczesnej wiedzy o człowieku. Wydaje mi się, że kobieta i dziecko, to są tereny zupełnie jeszcze niezbadane. I wydaje mi się, że kobiety mają do napisania jeszcze odnowa całą literaturę, bo ich rzeczywistość, jeżeli uwzględnimy choćby tylko same założenia psychologiczne, jest zupełnie inna od rzeczywistości mężczyzny. Nie trzeba maskować tej odrębności, tylko ją artystycznie i psychologicznie wyzyskać.

— Nie wątpię, że się pani do tego wydatnie przyczyni. Czekamy z niecierpliwością następnej powieści.

— Postaram się ją wykończyć do jesieni. ab

FILOZOFKA WERSALSKA

„Powtarzano sobie na dworze jej zgrabne słówka", mówiła o Marji Leszczyńskiej pani de Genlis. Rzeczywiście, zapomniana królowa umiała się ludziom przypomnieć w sposób godny XVIII wieku, w którym więcej jeszcze, niż zawsze, ceniono we Francji dowcip, bystrość i trafne podpatrzenie śmiesznostek bliźniego.

Przyznawało to jej wielu współczesnych. Nawet sam Wolter głosił publicznie: *Un esprit fin, juste et solide...*

A potem żartując z przyjaźni królowej z prezydentem Hénault, pyta kogoś z jej bliskich: „Czy stary lowelas zawsze jej daje pierwszeństwo nad panią Du Deffand?... Już to prawda, że królowa ma wiele dowcipu". Samo porównanie Marji z właścicielką salonu z *rue Dominique* może być tytułem do sławy!...

Pani Du Deffand zazdrosną jednak o szczęśliwą rywalkę nie była, przyznaje jej wiele zalet. Puściła w świat modny wówczas „portret literacki" — jej Themira nietylko serce ma złote, ale i umysł niepowszedni.

Przedrewolucyjna literatura francuska, z której czerpała literatura polska, chcąc podnieść urok *ancien régime'u*, mówiła jedynie o „dobroczynnej" królowej, zapominając o tem że była ona kobietą inteligentną i, jak na ówczesne stosunki dworskie, bardzo wykształconą. Pierre de Nolhac, wielki znawca dziejów Leszczyńskiej i, jak sam twierdzi, wielki jej wielbiciel i przyjaciel, postanowił rehabilitować królowę i dał obraz tej duszy bardziej wszechstronny i różnorodny a przez to prawdziwszy.

Pójdę jeszcze dalej od tego uczonego i powiem, że jest w niej walka wykwintnej damy XVIII wieku z pokorną chrześcijańską duszą Polki. Raz jedna, drugi raz druga zwycięża. W obrazie tej walki — wbrew apologetom królowej — charakter jej traci, ale umysł zyskuje. Kobieta bierna, słaba, skłonna nieraz do kompromisów życiowych, jest pełną duchowego wdzięku, iście francuskiego *esprit*, jednostką zgoła nieprzeciętną. Ale bardzo słabą...

Zna dobrze ludzkie i własne ułomności, czuje różnicę między „chcę" a „muszę". Dlatego jest często w sprzeczności ze samą sobą. Inną jest w listach do przyjaciół, a inną gdy przemawia oficjalnie, inne są jej słowa, pełne godności, a inne czyny — wynik zewnętrznych warunków. Ale zawsze jest to ktoś, kto myśli, czuje bardzo silnie, ubolewa nad innymi, płacze nad samym sobą.

Królowa włada piórem dobrze, pewnie i swobodnie. Świadczy o tem wielka ilość listów, które zostawiła, ale prócz łatwości wyrażania swych myśli, zdradza też zamiłowanie — właśnie do tej formy wyrażania swych myśli. To już cecha urodzonej literatki — łatwiej było jej wypowiedzieć się piórem, niż słowem.

Marja nie umiała mówić, a raczej nie umiała dowodzić, rezonować, przekonywać, a nawet opowiadać. A już najmniej posiadała *l'art de badiner*... Ale tem się nie smuci — to zostawia frywolnym damom. Najbardziej krępuje ją brak umiejętności opowiadania. Czuje to dobrze, cofa się, wraca, wkońcu, gdy wybrnąć nie może, przerywa dobrym dowcipem, trafnym żartem, nierzadko w kształt aforyzmu ujmuje swoje wywody. Ta trudność wyrażania się, pochodząca z nadmiernej wrażliwości i skromności, sprawiała, że nawet wśród przyjaciół znaleźli się tacy, którzy wątpili czy opuszczona małżonka królewska, chroniąca się, na dnie całe, z książką w ręku, w zacisze swych apartamentów prywatnych, rozumie należycie wszystko to, co czyta. A Marja nietylko rozumiała, ale też umiała zrobić użytek ze swej lektury. Usłużna jej pamięć przynosiła, w miarę potrzeby, nabyte wiadomości i pozwalała się popisać elokwencją.

Esprit d'escalier nigdy nie było — i na dworze wersalskim, gdzie należało być ciągle w pełnej zbroi, na

straży, lub gotową do ataku — umiała zawsze zręcznie każdy cios odparować. Bano się złośliwego języczka pobożnej królowej. Bo nieraz była złośliwą. To już nieszczęśliwy przywilej ludzi bystrych, którzy widzą za dużo, za szybko się orjentują i zbyt wiele rzeczy wydaje im się godnemi śmiechu. Pokora kazała jednak corychlej cofać pazurki i zanim Marja grzech swój przed spowiednikiem wyznała, już się ze swego wystąpienia sumitowała przed obecnymi. Ale wymazać coś z ludzkiej pamięci niełatwo, szczególnie jakieś *bon mot*, które szybko z ust do ust przechodzi, aż dobiegnie do potomności jako anegdotka, żarcik, dowcip. Wiele takich anegdotek pozostało — i są one dla poznania duszy królowej bardzo charakterystyczne. Obok nich mamy cały szereg sentencyj, w formę których ubrała królowa swe uczucie, myśli, poglądy. Przy całej swej, często nadmiernej skromności, Leszczyńska niemało do nich wagi przywiązywała. Drukowała je na małej ręcznej drukarni i rozdawała swym przyjaciołom, w nadziei, że potrafią być szerzycielami, a w razie potrzeby, obrońcami jej idei. Prócz tych myśli, które ujęła w skończoną formę, wiele jej wyznań, rozrzuconych wśród listów, zużytkowałam do zbiorku, przygotowanego przeze mnie do druku. Są one piękniejsze, bo szczersze i bardziej bezpośrednie — nie mają żadnej pretensji by przejść do potomności. A raczej przeciwnie. Marja wyraża je z obawą, bo nie chce by głosu jej serca potomność dosłyszała.

Królowa bowiem — wzór poddania się woli bożej i woli męża — skarży się nieraz, płacze i cierpi...

Zasadą Leszczyńskiej było trzymać się zdala od spraw państwa, nie wypowiadać się nigdy publicznie, jakoby nie mieć swego zdania. A jednak doskonale orjentuje się w stosunkach, może ona pierwsza z rodziny królewskiej, widzi jakim zmianom one ulegają i jaki los Francję czeka. Tem bardziej nie mogła być nieczułą i niewrażliwą na to, co się wokoło niej działo, że było to w rażącej sprzeczności z jej poglądami — stąd, nieomal w przeddzień rewolucji, cały szereg sentencyj odzwierciadlających idealny, zdaniem królowej, stosunek panującego do swego ludu — panującego, spadkobiercy tu na ziemi władzy bożej. Zresztą Marję bardzo wiele rzeczy raziło w tym wieku oświecenia i kultury. Natura słaba i bierna w praktyce — nie zrezygnowała nigdy ze swych zasad religijnych i moralnych. Wszystko co mówi, jest protestem przeciw temu życiu, na które patrzyć musiała. Protestem nieszkodliwym — papierowym.

Poglądy Marji były bezsprzecznie zacofane i może nawet śmieszne w stosunku do XVIII wieku, ale z jej punktu widzenia były zupełnie racjonalne, były dobrze pomyślane, zgrabnie, zręcznie, jak zauważyła pani de Genlis — *avec beaucoup de finesse*, powiedziane.

Prócz obrażonej w swej godności monarchini, zawiedzionej żony, zgorszonej chrześcijanki, przemawia też często tylko jako kobieta. Kobieta czująca, wrażliwa, subtelna. Taka, która ze swych życiowych spostrzeżeń umie wnioski wyciągnąć, lubi myślami się bawić, a rozstrząsaniom uczuciowym przyznaje wiele miejsca i wagi. Mówi zresztą o jednem tylko uczuciu — przyjaźni.

Serduszko młodej Polki skłonne było do miłości: wdzięcznej, trwałej, skromnej i nieśmiałej. Taka miłość nie była modną w Wersalu — życie więc prędko wyleczyło ją ze złudzeń. Wkrótce po ślubie rozkochana królowa zwierza się przyjacielowi: „Nikt nigdy nie kochał, jak ja kocham! Jakże miło z obowiązku uczynić sobie przyjemność!", ale potem już nie słyszano od niej, co o miłości sądzi. Zdradzona, a raczej zdradzana małżonka, uważała, że taktowniej nie zabierać głosu w tej sprawie. Zdaje się, że miała dość zdrowego rozsądku, by nawet wobec samej siebie kwestji tej nie poruszać. Jeśli pragnęła naprawy stosunków z Ludwikiem — chodziło jej raczej o uniknięcie publicznego zgorszenia, niż o odzyskanie utraconego serca.

A potem szukała pociechy w tem, w czem zwykle pociechy szukają kobiety pozbawione temperamentu — w przyjaźni. Może zresztą są one szczęśliwe — miłości i nie pragną i nie rozumieją. Na pewno zresztą, w takiej sytuacji jak Marja — było to szczęściem. Bo gdy się jest żoną o siedem lat młodszego od siebie małżonka, — najpiękniejszego mężczyzny w kraju, — gdy się jest w dodatku pozbawioną wdzięków fizycznych, najlepiej nie walczyć o miłość kochanego niegdyś człowieka, tylko skłonić głowę przed wolą i władzą pana.

AURELJA WYLEŻYŃSKA (Paryż)

NIEKTÓRE
MYŚLI I SPOSTRZEŻENIA MARJI LESZCZYŃSKIEJ

Prawda jest prostotą; najładniej mówi się wtedy, gdy się mówi prawdę.

Są smutki zbawcze, które niosą ze sobą radość.

Tylko dla niewinnych samotność jest pełną czaru.

Pycha jest kłamstwem, a kłamie się przez słabość.

Ze wszystkich rodzai marnotrawstwa, najszkodliwsze jest marnotrawienie czasu.

Tym, którzy wszystko czynią by o nich mówiono, rzadko udaje się zmusić by o nich mówiono dobrze.

Pochlebstwo jest zniewagą, bo komu pochlebiamy, tego poniżyć pragniemy.

Pochlebcy przyznający nam cnoty, których nie mamy, mniej są niebezpieczni od tych ludzi, którzy chwalą nasze wady.

Aby żyć z ludźmi w zgodzie, trzeba otworzyć oczy na ich przymioty, a zamknąć na ich wady i śmieszności.

Kto nie prosi dla siebie, ma podwójne prawo żądać by go słuchano.

Kto chełpi się ze swego wyniesienia, dowodzi że nie zasługuje na nie.

Strwonił, nie użył, bogactw ten, kto niemi nie wsparł ubóstwa.

Prawo, które opiekę roztacza nad rozrzutnymi, czynić winno to samo i ze skąpcami; tamci siebie i rodzinę krzywdzą, ci całe społeczeństwo.

Jak łatwo przyzwyczaić się do tego, co jest miłe!

Szczęście, źródłem którego jest imaginacja, trzeba otaczać szczególnie delikatną opieką.

Tyle tylko powinniśmy myśleć o błędach naszych bliźnich, ile nam tego potrzeba, żeby samym podobnych uniknąć.

Żadne bogactwa Peru nie zastąpią błędów złego wychowania.

W ŚWIĄTYNI REGJONALIZMU PODHALAŃSKIEGO

Można śmiało powiedzieć, że w polskiej sztuce ludowej Podhale zajmuje miejsce przodujące. Jeszcze wtedy, kiedy hasło regjonalizmu nie miało u nas racji bytu, gdy należało raczej scalać, zbliżać i upodobniać do siebie rozdarte dzielnice Polski, niż je zbytnio różniczkować podkreślaniem odrębności obyczaju, dialektu i charakteru — górale tatrzańscy zdobyli sobie przez silną, nienaśladowaną u nikogo, tak pełną uroku fizjognomję duchową prawo przemawiania w sztuce i literaturze polskiej swoim własnym językiem, a Kazimierz Tetmajer (jakże dziś zapomniany, niestety!) stanął ze swem wspaniałem „Skalnem Podhalem" jako jeden z najbardziej zwycięskich pionierów nienazwanego jeszcze podówczas polskiego regjonalizmu.



OKAZ DAWNEGO ULA PODHALAŃSKIEGO
Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego



ORYGINALNIE ZDOBIONY TALERZ
Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego

Dziś kult zdobnictwa podhalańskiego zeszedł cokolwiek — jeżeli chodzi o ogół — na tory niepożądane. Nasze górskie miejscowości klimatyczne zalewają przeważnie tandetne, masowo produkowane wyroby przemysłu rzekomo zakopiańskiego, ozdobione wzorami zapożyczonemi od górali, ale zbanalizowanemi, obracającemi się wciąż dokoła tych samych, dość ubogich motywów. A sztuka mieszkańców Tatr i Podhala jest niesłychanie bogata i rozmaita, należy jednakże zejść do samych jej źródeł i nie zatracać ani wypaczać tego, co wyrosło samorzutnie i bujnie na skalistej glebie dolin Dunajca.

Ażeby te czyste źródła odnaleźć, niekoniecznie trzeba szukać ich po chatach góralskich. Wystarczy zajrzeć do Muzeum Tatrzańskiego im. Chałubińskiego w Zakopanem, gdzie znawcy i miłośnicy przez długi szereg lat zgromadzili najbardziej oryginalne i charakterystyczne okazy sztuki i przemysłu czysto ludowego. Skarbczyk ten, założony jeszcze w r. 1888 w myśl idei gorącego wielbiciela i odkrywcy naszych Tatr — doktora Tytusa Chałubińskiego — dzięki inicjatywie i staraniom jego przyjaciół, narastał przez lat przeszło czterdzieści w bogactwo pamiątek, którego cenić miernikiem pieniężnym niepodobna. Posiada bowiem wiele rzeczy, jakich teraz już nikt nawet w najbardziej zapadłych kątach Podhala nie znajdzie. Dziś mieści się Muzeum we własnym, murowanym pałacyku, wykończonym już pod rządami wolnej Rzeczypospolitej według projektów Stanisława Witkiewicza i arch. Mączyńskiego. Wrót jego strzegą dwa posągi — ostatniego gęślarza Podhala, wielkiego, choć nieuczonego poety tatrzańskiego — Sabały Krzeptowskiego, dłuta Nalborczyka, oraz popiersie Chałubińskiego, „króla Tatr", jak go górale nazwali.

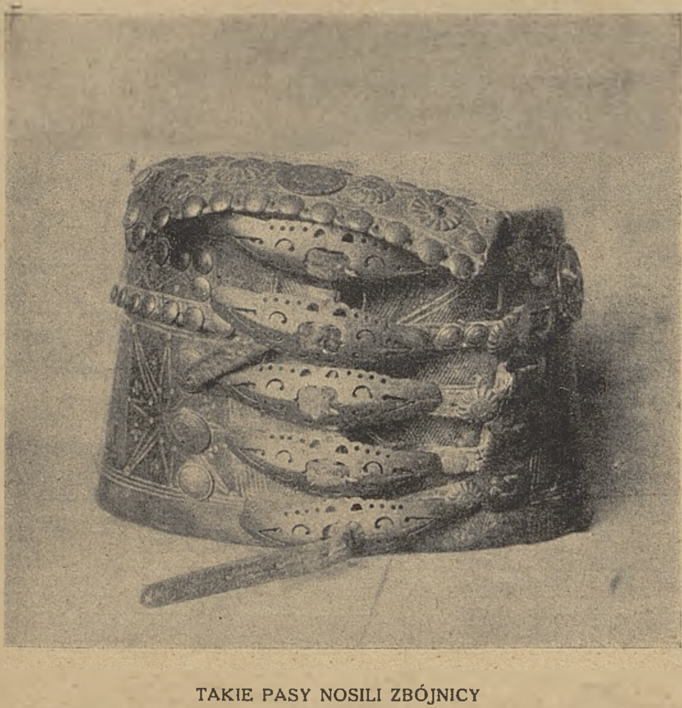
Przejść i rozejrzeć się po salach Muzeum — to znaczy zobaczyć żywy i wierny obraz, jak żyje, a jeszcze więcej, jak żył ongi lud góralski, jak mieszkał, ubierał się, czem się żywił, z czego jadał i pijał, w co wierzył, czem się chlubił, jak się zabawiał i czego się bał. A wszędzie przebijała tendencja, więcej jeszcze — miłośnictwo, pasja zdobienia, zdobienia i zdobienia wszystkiego, co w rękę wpadło. Musiała być zdobiona „izba biała" czyli salon góralski (nazwana w przeciwieństwie do „izby czarnej" — kuchni), jak ul w pasiece — gorset czy spódnica dziewczyny, jak i kijanka do prania, manierka na

wódkę czy czerpak na wodę. Rzecz znamienna, że lud ten, pełen fantazji, temperamentu, pomysłu i życia, miał nawet więcej do powiedzenia dawniej, gdy był zupełnie sam, aniżeli teraz, kiedy zwrócił na siebie uwagę znawców folkloru. W czasach, kiedy Podhale stanowiło na ziemiach Polski niejako wyspę, własnem życiem żyjącą i odrębnemi prawami rządzoną (Podhalanie wyłączeni byli z pod prawa pańszczyzny i podlegali bezpośrednio królowi) — kiedy górale, odcięci od świata cywilizowanego, wiedzieli o nim tyle, ile wiadomości zdołali im przynieść grasujący po dalszych okolicach zbójnicy, a świat o nich wiedział tyle, co nic — w onych czasach święciła triumfy wolna myśl ludu podhalańskiego, jego fantazja, inwencja, wynalazczość. W zbiorach Muzeum Tatrzańskiego wszystkie te cechy górali znalazły godny wyraz.

Prymitywne, staroświeckie narzędzia rolnicze i rękodzielnicze, wagi, cyrkle, świdry, kołowrotki, przyrządy do lania świec i t. p., mówią nam, do jakiego stopnia lud ten musiał sam sobie tworzyć życie. A życie to, twarde i trudne na ziemi kamienistej, bliższe niż gdziekolwiek potęgi żywiołów i najeżone troskami a niebezpieczeństwami, jako ta obroża kolczasta, broniąca psa owczarskiego przeciw wilkom (jeden z okazów muzealnych) — było jednak bujne, krzepkie, barwne i śpiewne.

Oto bogate pasy zbójnickie, takie, jaki niezawodnie nosił Janosik Nędza Litmanowski, a jakiego już dziś żaden góral nie posiada. Oto misterne hafty i sute brokaty, w które stroiły się na niedzielę Maryny i Halki, a tu patrony do wybijania deseni hafciarskich na płótnie, techniką przypominające dzisiejszy batik — a tam skromniutki grzybek szklany, który służył góralkom zamiast żelazka do prasowania. Każdy stołek musiał być rzeźbiony, albo i malowany, każdy czerpak miał ozdobne, wymyślne ucho; oszczypki owcze, odciskane w glinianych formach, przybierały kształty ptaków i kóz, a ul pszczeli miewał czasem postać niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach, a w przedniej trzymającego plaster miodu, czasem wystrugany bywał na podobieństwo biskupa, albo księdza w komży.

Wszystko to reprezentuje góralską „sztukę stosowaną". Są i przykłady „sztuki czystej", a należy do niej ciekawa kolekcja obrazów na szkle malowanych



TAKIE PASY NOSILI ZBÓJNICY
Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego



DZBAN GÓRALSKI
Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego

farbami białkowemi, dzieł wędrownych malarzy o tematach religijnych albo czerpanych z życia góralskiego. Serdeczne te bohomazy, mówiące jednak wiele o inwencji i wyobrażeniach ludowych, zdobiły suto izby chat podhalańskich, zanim wtargnęły do nich banalne oleodruki. Kwitła i muzyka, czego dowodem zbiór osobliwych, dziś już zapomnianych instrumentów góralskich: gęśle, długie fujary pasterskie, kobzy, skrzypki o czterech strunach. A że święciła triumfy i Terpsychora, to rzecz powszechnie znana. Słynny taniec „zbójnicki", uwieczniony na jednym ze szklanych obrazów, jeszcze i dziś ożywia wesela i wieczornice po wioskach Podhala.

Posiada Muzeum wzorowy model chaty i wszystkich jej części, urządzonych i przystrojonych tak, jak zwyczaj góralski wymaga. Osobny dział stanowią obfite zbiory przyrodnicze, dające przegląd flory i fauny tatrzańskiej, oraz galerja zdjęć fotograficznych, ilustrujących krajobraz Tatr. Okazy muzealne opatrzone są prowizorycznemi jeszcze pod względem formy napisami, treściowo jednakże bardzo starannie opracowanemi.

Ciekawy ten przybytek nazwać można nietylko podhalańską świątynią regjonalizmu, ale i jedną z ostoi w walce dzisiejszych estetów z wybujałym urbanizmem. Świeży ów prąd, wzywający do nawrotu w stronę natury, przejawił się w Zakopanem ubiegłego lata w „Tygodniu Tatrzańskim", który uświetnił głęboko ujęty odczyt Ferdynanda Goetla. Ale omawianie poruszonych w nim problemów przerasta ramy mojego dzisiejszego wspomnienia.

MICHALINA GREKOWICZ-HAUSNEROWA

FRANÇOIS VILLON*

BALLADA O DAMACH CO ŻYŁY ONGI

Rzeczcie mi kędy, w jakim kraju
Rzymianka, piękna Flora[1] bawi?
Gdzie Archipiada,[2] gdzie Taiza,[3]
Która jej siostrą była prawie?
Echo[4] co się odzywa w stawie,
Lub nad ruczajem, gdy głos padł —
A piękność jej nadziemska prawie?
A gdzie są śniegi z dawnych lat?

Kędy cnotliwa Heloiza,[5]
Przez którą z grzechów duszę zbawia
Piotr Abelard,[6] mnich u Djoniza[7] —
Ze swej miłości tam się kaja?
Gdzie pani, z której ust łaskawie
Na Buridana[8] wyrok padł,
Aby zatopion był w Sekwanie?
A gdzie są śniegi z dawnych lat?

Królowa biała jak lilija,
Która syrenim głosem wabi?
Berta,[9] Beatrix[10] i Eliza,[11]
I ta co Mainu ma dzierżawy?[12]
Joanna,[13] którą w zwycięstw sławie
Na stos angielski ciągnął kat?
Gdzie one, Panno Święta, bawią?
A gdzie są śniegi z dawnych lat?

POSŁANIE

Książę, nie pytaj mnie łaskawie,
Gdzie orszak ten — czy w ziemię [wpadł?
By snadnie refren ci nie prawił:
A gdzie są śniegi z dawnych lat?

Spolszczyła IDA WIENIEWSKA

* Jeden z największych poetów Francji, a największy w jej średniowieczu (1431 do około 1489).

[1] Imię wielu słynnych kurtyzan rzymskich.

[2] Właściwie: Alcybiades, którego imię, cytowane w II. przypadku przez Boecjusza, sławiącego jego urodę, wzięto w średniowieczu za imię żeńskie.

[3] Tais, święta, nawrócona kurtyzana egipska, bohaterka popularnej legendy średniowiecznej.

[4] Nimfa zakochana w Narcyzie.

[5] Wsławiona miłością ku Abelardowi, zmarła jako ksieni klasztoru Paraclet, założonego przez Abelarda (XII w.).

[6] Teolog i filozof scholastyk francuski, potem mnich, zasłynął życiem nieszczęśliwem. Na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu znajduje się grobowiec zwany grobowcem Abelarda i Heloizy.

[7] Saint-Denis, sławne opactwo, z grobami królów francuskich.

[8] Bohater słynnej legendy, na której tle powstał dramat Dumasa i Gaillardeta „*La Tour de Nesle*".

[9] Berta wielkostopa, bohaterka jednej z *Chansons de geste*, według której miała być żoną Pepina Małego i matką Karola Wielkiego.

[10] W oryginale: *Bietris*, może zniekształcone imię Beatrix Danta.

[11] Zapewne: *Aelis*. Wielce popularne rondo z XII i XIII w. opiewało przygodę „pięknej Aelis".

[12] Haremburgis, córka i następczyni hrabiego Anjou, Helie de la Flèche (pocz. XII w.) poślubiła hrabiego Anjou, Foulques V i wniosła mu na wiano prowincję Maine.

[13] D'Arc, spalona w roku 1431 w Rouen przez Anglików na stosie, co zresztą najnowsze badania kwestjonują.

LEN ŚWIĘTEJ AFRY

Ostatni miłośnik odszedł był o późnem świtaniu.

Jeszcze drży na przeciągu zasłona łożnicy niedbałą ręką jego szarpnięta... Jeszcze słychać, jak w dole ulicy oddalające się ku rynkowi jego kroki klaszczą o mokre od rosy kamienie.

Przez odemknięte okiennice wchodzi bławy świt i rzeźwość ranka przeciwna nocnemu znużeniu.



Nierządnica Afra, napoły jeszcze senna, prostuje udręczone pracowitą rozkoszą członki.

Niema w niej już pamięci twarzy ni głosu żadnego z nocnych gamratów, ale w prześcieradłach wzburzonych na łożu przytaiła się wszystka woń pachnideł i cielesnego potu, i teraz w jasnem obliczu ranka tchnie jeszcze lubieżniej, bardziej pokuśliwie. Więc Afra, leżąc nawznak, białemi dłońmi gładzi wkoło siebie lniane pomięcia i załamania, nogi do kolan i ręce do ramion w topieli płótna nurza, a całem zwinnem ciałem po jego lnianej gładziźnie trze się jak wąż.

Siła cielesnej rozkoszy jest wielka, skoro nią przesycone mdłe włókna tyle chuci mają w sobie, iż samem dotknieniem w nową rozkosz poganiają ciało.

Nazewnątrz komnaty trzy służebne Afry, młodziutka Dygna przetowłosa, Eunomja i Eutropja, młódki o palcach równie składnych do trefienia jak i do kądzieli, już się oto krzątają około rannych potrzeb swojej pani. A strój jej dzienny i pierwszy posiłek wedle zwyczaju nagotowawszy, usiadły prząść, w cichości czekając aż pani ich wstanie.

Wyszedłszy ze swej łożnicy, ubrawszy się i posiliwszy, Afra robotę dziewek swych chwaliła, a wespół z niemi prząść jęła.

Rozcałowane, stargane męskiemi pieszczotami palce jej z lubością pogrążają się w miękką lnianą przędzę.

Śpiewają dziewki. Co najciniej wyciągają nić lnianą i nutę pieśni:

— O lnie!
o lnie,
któryś poczęty w łonie ziemi
ze słonecznego nasienia,
który rodzisz się w całowaniach deszczu,
a rośniesz pod uściskami [swawolnego wiatru,
który dojrzewasz w połu- [dniowym żarze
i błękitnemi kwiatami wabisz [ku sobie
lotne motyle
i głodem dręczone pszczoły,
napełnij sobą me komory
— O lnie!
(Łączy swój dźwięczny głos do głosu dziewek Afra.)
— O lnie,
miłośniku niewieściego ciała,
świadomy jego wdzięków
zdradliwy przyjacielu,
co białym rąbkiem wabisz hyże palce mężczyzn
i głodem dręczone ich usta,
napełnij sobą moje skrzynie! —

A gdy tak społem śpiewały, śpiew ich przerwali kołataniem do drzwi dwaj wcześni goście.

Porwały się skwapliwie przybyszom owym służyć dziewki, Dygna przetowłosa, Eunomja i Eutropja, młódki o palcach równie zręcznych do kądzieli jak do namaszczania i trefienia. Afra, widząc ludzi czci godnych i mniemając iż dla rozkoszy przyszli, wedle zwyczaju wieczerzę nagotować rozkazała.

A gdy mieli za stół siadać, słuszniejszy i urodziwszy z przybyszów począł pierwej modlić się i psalmy mówić.

Afra nigdy tego nie widząc ani słysząc, zdumiałą była:

— Dziwniż to miłośnicy, którzy się tem bawią — mówiła w myślach swoich, ale głośno nie rzekła nic i czekała uprzejmie aż skończą i wedle zwyczaju czynić zaczną.

W miarę jednak, jak słowa modlitwy padały z ust modlącego się, z oczu nierządnej niewiasty opadała ciemność ją spowijająca.

— Któż ci to jest, kto to czyni? — pytała strwożona.

I powiedzieli jej, iże są: biskup Narcyssus z diakonem Feliksem.

A ona, dowiedziawszy się, iż w domu swym gościa takiego gości, do nóg jego padając rzekła:

— Panie! nie masz w mieście niewiasty niepoczciwszej nade mnie, obecności twojej nie jestem godna.

Odrzekł jej:

— Jako promień słoneczny plugawych się rzeczy dotykając, mazać się nie może, tak i światłość Chrystusowa. Naprzeciw, wszystkie zmazy gładzi i odpuszcza. I ty, córko, weź oświecenie wiary, abyś od sprośności grzechów oczyszczona, wieczną jasnością uweselona być mogła.

Odpowie Afra:

— Panie! lasem cedrowym zwali miłośnicy moi me włosy dla ich bardzo wielkiej obfitości. Jakże mogę być oczyszczona od grzechów, których we mnie więcej niźli tych włosów na głowie?

A Narcyssus rzecze:

— Uwierz, a ochrzcij się, zbawiona będziesz.

Tedy Afra odszedłszy od biesiadnego stołu, radziła się służebnych swoich, co miała czynić?

Odrzekły jej dziewki służebne, Dygna przetowłosa, Eunomja i Eutropja, czci pełne:

— Co ty, jako pani nasza i głowa nasza uczynisz i my uczynimy wraz z tobą.

I frasowała się Afra, jako że jeszcze niedość była przejrzała.

A iż w tym czasie noc zapadła, Narcyssus biskup i diakon Feliks z tem większym zapałem na modlitwie trwali.

Śpiewów ich świętych słuchając, Afra i dziewki jej zrazu nieśmiało, a potem z gorliwością wielką im wtórzyły.

I tak społem noc ową ku chwale Pańskiej trawiąc, piania pierwszych kurów doczekali, a świece im pogasły.

Nie skąpiąc, nowe świece zapalić chciała Afra. Jakoż poskoczyły służebne i w skwapliwości wielkiej naniosły ich dziesiątek bezmała, samych przednich, z jasnego wiosennego wosku. Które gdy chciała Afra zapalić — nie mogła.

— Poniechaj świec — rzekł jej tedy Feliks diakon. — Nie pragnij światłości, która gasnąć może, ujrzysz wnet tę, co nie gaśnie.

I rzekł biskup Narcyssus

— Przyjdź światłości moja niebieska, ukaż nam twarz twoją, a będziemy zbawieni.

Co gdy rzekł, stała się światłość dziwna bez świecy i bez oleju gorejąca, a trwała w domu owym do świtania.

Skoro dzień, przysłał pogański sędzia do Afry sługi swoje pytając o mężach, którzy nie tutejszymi będąc, wczoraj do niej weszli — co by to za jedni? i kędy się obrócili?

A ona wiedząc, iżby ich wydał na prześladowanie:

— Miłośnicy to byli moi — rzekła. — Noc ze mną strawili. Co mnie i im do dnia jasnego? Idźcie na rynek i tam pytajcie —

I odeszli. A ona świętych skryła w komorze pod len.

O ciemnym wieczorze biskup Narcyssus z Feliksem diakonem cudownie wybawieni, opuścili tajnie dom nierządnej Afry i uszli w dobrem zdrowiu.

Tedy Afra gamratów nocy tej nie czekając, ani ich chcąc, ogień w kuchni wystudzić kazała i żar popiołem zasypać. Barwiczkami się nie namazała, włosów nie utrefiła i łoża nie rozścieliwszy z dziewkami do przędzenia siadła.

Ale zaledwo tknęła lnu, który schronieniem był świętemu mężowi, zdumiała się, tak zdał jej się być szorstki a gruby. Także nić, którą z lnu tego raniąc sobie palce, wysnuła, ostra była jakoby włos włosiennicy służącej ku umartwianiu.

Raduje się Afra:

Płótno utkane z tych nici surowością swą otoczy szczelnie grzeszne ciało. Chłodem swym zbytnią jego gorącość wystudzi. Ślady nieczystych całunków i pieszczot nieskromnych z białych członków zetrze, aż krwią spłyną, pożółkną i wyschną, i prochem się staną, z którego były powstały.

Raduje się Afra.

Z sprośności grzechów oczyszczona, wieczną radością uweselona śpiewa:

— O lnie,
który poczęty w ciemnicy
wychodzisz na światłość słoneczną —
któryś jest pojony zimnemi łzami deszczu
i palony skwarem —
któryś jest z ziemi żywcem wydarty
i topiony z kamieniem, u szyi —
któryś jest bity srodze kijami,
i kruszony,
i z włókien wypruty —
a po męce przemieniony chwalebnie
w białe płótno milczące i czyste —
Strzeż ciała mego od zmazy! —
— O lnie!

(Wtórują świętej Afrze zgodne głosy błogosławionych panien: Dygny, Eunomji i Eutropji:)

— O lnie,
któryś był miękką pieluszką Bożemu Synowi,
suknią Jego ubogą w czas ziemskiej wędrówki
i... grobowym Jego całunem,
odziej nas zgrzebną, śmiertelną koszulą,
pilno nam bowiem do wrót śmierci,
co są wrotami Wiecznego Żywota.

EWA SZELBURG



ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski Powieść, 16

— Nie wzmocnię się nigdy.

— Ależ owszem, owszem. Już teraz masz się lepiej.

— Jeżeli poczuję się lepiej, znów mię wyślą.

— Nigdy. Już nigdy.

— Powinienbym tam być. Nie powinienbym tu siedzieć i nic nie robić... Aniu, Queenie chyba nie przyjedzie, co?

— Nie. Jest o wiele zanadto zajęta.

— Bo widzisz, tego się boję, więcej niż wszystkiego innego. Queenie przyjedzie. Powie mi, żem stchórzył. Sądzi, że stchórzyłem, że właściwie nic więcej mi nie jest.

— Ależ nie. Wie, że to nie ty, tylko twe ciało. Nerwy ci się stargały na strzępy, oto wszystko.

— Ja nie stchórzyłem, Aniu. — (Mówił to po raz setny.) — Robiłem co mogłem. Po pierwszej kontuzji szedłem dalej do ataku — wprost na bagnety. Dopiero pod sam koniec bitwy zostałem drugi raz kontuzjowany. Wówczas nie mogłem już wstać. Nie mogłem się poruszyć.

— Wiem, Colinku, wiem.

— Ale czy Queenie wie?

— Ma się rozumieć. Pojmuje doskonale. Ba, toć ona codziennie widzi kontuzjowanych. Wie, żeś się zachował po bohatersku.

— Co to, to nie; lecz i nie tak źle, jak się jej wydaje. Nie puszczaj jej do mnie, gdyby przyjechała.

— Nie przyjedzie.

— Przyjedzie. Przyjedzie. Któregoś dnia dostanie urlop. Napisz jej, by nie przybywała. Napisz, że nie wolno mnie odwiedzać, że leżę bez zmysłów. Jakiekolwiek kłamstwo, któreby ją powstrzymało.

— Nie myśl o niej.

— Niepodobna. Mówiła mi takie obrzydlistwa. Nie masz pojęcia jakie paskudztwa mówiła mi.

— Ona to wszystko mówi, choć nie myśli poważnie.

— O, cóż znowu... Czy to mama? Powiedz jej, że zasnąłem.

Bo Colin bał się matki również. Bał się, że będzie mówiła, że zacznie prawić o wojnie i o Jerroldzie. Colin był w domu już od sześciu tygodni, a imienia Jerrolda nie wypowiedział ani razu. Odczytywał listy brata i bez słowa oddawał je Adelinie lub Annie. Rzekłbyś, iż pomiędzy nim a myślą o Jerroldzie czai się mrok i jakieś najwyższe, nienazwane przerażenie.

Któregoś poranku Anna zbudziła się od głosu Colina w jej pokoju.

— Aniu, nie śpisz?

Pokój był pełen białego świtu. Ujrzała go stojącego przy jej łóżku.

— Moja głowa jest jakaś dziwna — oświadczył. — Czuję, jak mózg mi się buja i kołysze, jakby się jego zwoje porozplatały. Czy to możliwe?

— Oczywiście nie.

— Może to hałas je rozluźnił.

— To nie mózg swój czujesz, Colinie, to nerwy. To ów wstrząs wciąż igra niemi.

— Nigdyż to nie ustanie?

— Owszem, kiedy się wzmocnisz. Idź do łóżka, a ja zaraz do ciebie przyjdę.

Odszedł. Narzuciła szlafroczek i udała się do niego. Usiadłszy przy łóżku, złożyła mu rękę na czole.

— Tak, dobrze. To ustaje pod dotykiem twojej dłoni.

— Właśnie. A teraz zaśniesz.

I oto, ku jej radości, zasnął.

Wstała i patrzyła na niego, gdy tak leżał w białym świcie. Był tak zupełnie niewinny, tak wzruszający we śnie. Sen wygładzał udręczoną jego twarz i przywracał dawny obraz Colina-chłopczyka, Jerroldowego brata.

Tego rana otrzymała list od Jerrolda. Pisał:

„Nie trap się zbytecznie Colinkiem. Będzie on w porządku tak długo, dopóki będziesz go pielęgnowała.”

Zastanowiła się: „Czy Jerrold pamięta, że to on mię prosił o opiekę nad Colinem?”

Lecz była rada, że Jerrolda tu niema i że nie słyszy, jak Colin krzyczy.

3.

— Aniu, czy ty możesz sypiać? — rzekła Adelina. Colin poszedł do łóżka, one zaś we dwie siedziały w saloniku późnym wieczorem.

— Niebardzo dobrze, kiedy Colin miewa takie ciężkie noce...

— Czy sądzisz, że się wogóle kiedy wyleczy?

— Tak. Ale to jeszcze potrwa.

— Długo?

— Zapewne bardzo długo.

— To już nie wiem, moja droga, jak ja to zniosę. I żebym chociaż wiedziała, co się dzieje z Jerroldem i Eliotem. Dziwię się czasami, jakim cudem przeżyłam te pięć lat. Naprzód śmierć Roberta, potem wojna. A wszak przedtem nic nie zaznałam prócz bezwzględnego szczęścia. Uważam, że trudniej znosić zgryzoty, gdy się znało tylko szczęście... O, gdybym mogła umrzeć zamiast wszystkich tych chłopców, Aniu. Czemuż nie mogę? Dla kogo mam żyć teraz?

— Dla Jerrolda i Eliota i Colina.

— Och, moja kochana, Jerrold i Eliot może nigdy nie wrócą. A spójrz na biednego Colina. To nie ten Colin, którego ja znam. I nigdy już nie będzie takim. Nieomal wolałabym, by został zabity, niż żeby w takim żył stanie. Gdyby stracił był nogę lub rękę... Dobrze mówić tobie, Aniu, bo to nie twój syn.

— Nie wiesz, ciociu, czem on jest dla mnie — rzekła Anna. Pomyślała: „Jest bratem Jerrolda. Jest tem, co Jerrold kocha ponad wszystko”.

— Nie — ciągnęła Adelina. — Wszystko się dla mnie skończyło ze śmiercią Roberta. Nigdy nie wyjdę zamąż powtórnie. Zanicbym nie zastąpiła Roberta kim innym.

— Wiem, ciociu. Wiem, że to było straszne dla ciebie.

— Nie przeżyłabym tego, Aniu, jeślibym nie wierzyła, że jest Coś-gdzieś. Nie rozumiem, jak możesz się obyć bez żadnej religji.

— Skąd wiesz, że nie mam żadnej.

— Hm, nie masz wiary w nic. Czyż się mylę, kiciu?

— Nie wiem, w co mam wiarę. To za trudne. Myślę, że gdy się kocha ludzi, to wystarcza. Pomaga znieść wszystko.

— Bynajmniej. A nawet przeciwnie. Właśnie kochanie ludzi tak wszystko utrudnia. Gdybyś ich nie kochała, nie dbałabyś co się z nimi dzieje. Gdybym nie kochała Colina, łatwiejbym zniosła jego kontuzję.

— Gdybym ja go nie kochała, wogólebym tego znieść nie mogła.

— Zdaje mi się, — powiedziała Adelina — że się w gruncie zgadzamy.

Anna pomyślała o zamkniętych drzwiach Adeliny; i mimo swą miłość dla niej, poczuła wątpliwości. Nie była pewna, czy w tej kwestji kochania były kiedykolwiek jednomyślne. U Adeliny miłość była stanem biernym. Zaczynała się i kończyła wzruszeniem. U Anny miłość była mocą w czynie. Znaczyła ona przedewszystkiem: służyć ludziom, których się miłuje. Adelina ko-

chała męża i synów, ale pierzchła przed widokiem Robertowego krwotoku, usiłowała powstrzymać Eliota i Jerrolda od życia, jakiego pragnęli; nocami zamykała drzwi, by Colin nie mógł wejść. Dla Anny to ostatnie było najgorszym Adeliny grzechem. Starała się nie myśleć o tych drzwiach zamkniętych.

— Zapewne, — odezwała się Adelina — opuścisz mię teraz, gdy twój ojciec powraca do kraju?

List Jana Severna leżał pomiędzy niemi na stole. Po dwudziestu pięciu latach w Indjach spędzonych, wycofywał się ze służby. Miał być w kraju równocześnie z tym listem.

— Nic podobnego — odparła Anna. — Pozostanę jak długo będziesz mnie chciała. Jeżeli tatuś chce mię widzieć, niech tu przyjeżdża.

Po trzech dniach przyjechał.

4.

Był teraz siwy, twarz miał nieco zmarszczoną, nieco wyblakłą. Lecz wciąż był wysmukły i przystojny; przystojniejszy, bardziej dystyngowany, — uznała Adelina w duchu — niż kiedykolwiek.

Znów siadywał z nią na tarasie, gdy dnie październikowe były ciepłe; przechadzał się z nią po trawniku, po bitych dróżkach kwiatowego ogrodu. Znów chodził za nią z saloniku do bibljoteki, w której leżał Colin, i napowrót. Oczekiwał, wciąż gotów na jej usługi.

Adelina znów uśmiechała się swym ładnym, zadowolonym ze siebie uśmiechem. Wyglądała na młodą, zupełnie szczęśliwą dziewczynę. Ustawicznie była świadoma jego obecności.

Którejś nocy Colin zawołał do Anny, że nie może spać. Ktoś chodzi po ogrodzie pod jego oknami. Anna wyjrzała. W księżycowej pełni zobaczyła ciotkę i ojca, przechadzających się po tarasie. Adelina miała na sobie długi płaszcz; trzymała Jana pod rękę; chodząc, przytulali się do siebie. Jego męski głos brzmiał cicho i tkliwie.

Anna krzyknęła im: „Słuchajcie, moi mili, nie moglibyście pójść gdzieś dalej? Colin nie może usnąć, gdy tak drepczecie tutaj".

Głos Adeliny doleciał ku nim jakimś roześmianym szeptem:

— Dobrze, kiciu, wracamy już do domu.

5.

Był to koniec października. Jan Severn odjechał do Londynu. Najął był dom na Montpelier Square i meblował go teraz.

Pewnego poranku Adelina przyszła uśmiechnięta, trochę skrępowana.

— Aniu, — spytała — jak sądzisz: czy mogłabyś dopilnować Colina, gdybym na tydzień lub dwa pojechała do Eweliny?

Ewelina, była to siostra Adeliny. Mieszkała w Londynie.

— Ma się rozumieć.

— Nie boisz się zostać z nim sama?

— Czy się boję? Colinka? Za kogo mię masz?

— Hm... — zastanawiała się ciotka. — Przecie jest tutaj pani Benning.

Pani Benning była ochmistrzynią.

— Wszystko będzie więc przyzwoicie i jak się należy. Chodzi o to, że przed zimą trzeba mi koniecznie zmiany i odpoczynku. Prawie nigdy, jak wiesz, nie opuszczam domu. I Ewelina radaby mię widzieć. Zdaje mi się, że muszę pojechać.

— Oczywiście musisz — potwierdziła Ania.

I Adelina pojechała.

W końcu tygodnia napisała:

„EATON SQUARE
3 listopada 1915

„Droga Aniu,

„Czy się bardzo zdziwisz wiadomością, że twój ojciec i ja mamy się pobrać? Może tego nie wiesz, ale kochał mię całe życie. Kiedyś mieliśmy się pobrać (o tem wiesz), lecz odpaliłam go. Jednak uczucie jego nie zmieniło się. Był taki wierny i przebaczający, czekał na mnie tak cierpliwie, — przez dwadzieścia siedem lat, Aniu, — że nie miałam serca mu odmówić. Czuję, że muszę mu powetować cierpienia, jakich mu przyczyniłam.

„Chcemy, byś tu przyjechała na ślub 10-go. Ślub będzie bardzo cichy. Bez drużek. Bez weseliska. Uznaliśmy, że lepiej nie wyprawiać ślubu w Wyck, przez wzgląd na Colina. To też wyjdę zamąż z domu Eweliny.

„Daj nam swe błogosławieństwo, moja kochaneńka.

„Sercem ci oddana

ADELINA FIELDING"

Oczy Anny nabiegły łzami. Nareszcie widziała Adelinę Fielding wskróś, jaką była w istocie, gdy obrazu nie mącił osobisty jej czar. Pomyślała: „Wychodzi zamąż, by się uwolnić od Colina. Zostawia go na moją opiekę. Jak mogła go zostawić? Jak mogła?"

Nie pojechała na ślub. Nadmieniła Adelinie, że nie warto było jej zapraszać, skoro wiadomo, że Colina nie można pozostawić samego.

— Chcesz powiedzieć, że ja nie mam prawa pozostawiać go?

Ojciec napisał do Ani:

„Ciocia Adelina myśli, że czynisz jej wyrzuty z powodu Colina. Upewniłem ją, że jesteś na to o wiele za rozsądna. Przyznasz, że to najlepsze, co mogła dlań uczynić. Nie więcej może sobie poradzić z Colinem niż dajmy na to kot. Sama potrzebuje opieki, to też powinnaś mi być wdzięczna, że cię od tej przyjemności oswobadzam.

„Ale przykro mi, że jesteś tam sama z Colinem. Jeżeli nie pozdrowieje, musimy go umieścić w szpitalu.

„Pewno zadajesz sobie pytanie, czy będziemy szczęśliwi? Będziemy — jak długo pozwolę jej robić, co zechce. A właśnie tak zamierzam postępować.

„Twój bardzo cię kochający ojciec

JAN SEVERN"

Anna zaś odpisała:

„Najdroższy Tatusiu,

„Nie przyszłoby mi do głowy czynić wyrzutów cioci Adelinie, jak nie wyrzucałabym kotkowi, że chwyta ptaszki.

„Opiekuj się nią ile sobie zechcesz: ja się będę opiekowała Colinem. Czy ci się to podoba, Tatuśku, czy nie, nic na to nie poradzisz. I nie pozwolę wywieźć Colina do szpitala. Byłoby to dla niego możliwie jak najgorsze miejsce. Spytaj Eliota. Przytem jest mu już lepiej.

„Ogromnie się cieszę, że będziecie szczęśliwi.

„Twoja kochająca

ANNA"

Rozdział ósmy:

ANNA I COLIN

1.

Jesień minęła. Leżak Colina podsunięto do kominka w saloniku. Anna siedziała tam przy nim.

Czuł się lepiej. Mógł za jednem posiedzeniem słuchać przez pół godziny, gdy mu Ania czytała głośno: wiersze, krótkie nowelki, rzeczy kończące się, zanim Colin zdążył się znużyć. Jadł i pił z apetytem, ciało jego zaczynało odzyskiwać siły.

W południe, gdy zimowe słońce świeciło, przechadzał się, zrazu tam i sam po tarasie, potem dokoła ogrodu, następnie aż do klonów na końcu pola, wreszcie ze wzgórka do Manor Farm. W dnie pogodne woziła go bryczuszką. Spróbowała kiedyś samochodu, lecz musiała dać za wygraną, gdyż Colina przerażały zgrzyty, trzaski i hałasy motoru.

W miarę jak się zima posuwała, Ania stwierdziła, że chłód i wilgoć nie pogarsza jego stanu. Nie mógł znieść gwaru, nawet szmeru wiatru, lecz dziwna jego choroba nie reagowała na deszcz ani na śnieg. Drżał w czystym, nieruchomym mrozie, a przecież dodawał mu on otuchy. Przez pół dnia starała się trzymać go na powietrzu, wożąc go lub przechadzając się z nim.

Zauważyła, że najmilej mu w miejscach, które odwiedzali dziećmi: na polach Manor Farm, High Slaughter i Hayes Mill. Wciąż odwiedzali okolice, z któremi związane były jakieś wspólne wspomnienia. Ilekroć Colin mówił do rzeczy, powracał myślą w owe czasy. Tam był bezpieczny. Jeśli gdziekolwiek, to tylko tam odnajdywał swą jaźń istotną i miał się dobrze.

Czuła, że droga Colina ku przyszłości wiedzie poprzez jego przeszłość. Gdybyż tylko mogła go tam powrócić, by znów był tem, czem był kiedyś. Wszak musi być jakiś szlak, jakieś ogniwo, łączące „wtedy" z „teraz"; trzeba jeno znaleźć most, znaleźć to ogniwo. Nie wiedziała, że sama jest tą drogą i łącznikiem, wiążącym mu przeszłość z teraźniejszością, związanym z jego młodością, szczęściem, beztroską, z latami przed wojną i przed Queenie.

Nie wiedziała, co mu Queenie wyrządziła. Nie wiedziała, że wojna tylko wykończyła to, co Queenie zapoczątkowała. W tem tkwiła tajemnica Colina, ukryte źródło jego strachu.

Ale z Anną był bezpieczny, ponieważ nie kochali się w sobie. Zostawiała jego zmysły w spokoju, a przywiązanie jej nigdy się nie domagało wzruszeniowej odpowiedzi. Wyrywała go lękom; trzymała go w jego dzieciństwie, chłopięctwie, w jego latach przed Queenie, a to dzięki ustawicznemu „Czy pamiętasz?".

— „Czy pamiętasz przechadzkę do High Slaughter?"

— „Czy pamiętasz potrzask, któryśmy zastawili na biednego Pinkneya?"

To było niebezpieczne; gdyż biedny Pinkney wyruszył na wojnę.

— „Pamiętasz mego królika?"

— Ba, juści.

Ale i królik był niebezpieczny: bo to Jerrold podarował go jej. Czuła, jak Colin się płoszy.

— Pamiętasz, jak cię odwiedzałam w Cheltenham?

— A babunia? a ciocia Emilja? Pamiętasz, jak grywałeś na ich pianinie i jak babunia podskoczyła, gdyś zaczął walić w klawisze, grając Waldsteina?

— Masz na myśli owo p r e s t o?

— Tak. Ostatnie akordy.

— Nie dziw, że podskoczyła. Jabym teraz także podskoczył. — Zwrócił ku niej swą żałosną twarz. — Aniu, ja już nigdy nie będę mógł grać. —

Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. Ostatecznie wszystkie drogi wiodły do Colinowej choroby.

— Ależ owszem, skoro tylko się wzmocnisz.

— Nigdy się nie wzmocnię.

— Przeciwnie. Już teraz jesteś silniejszy.

Wiedziała, że to prawda. Potrafił spać trzy godziny zrzędu i dał pokój wrzaskom.

Ale drzwi w dalszym ciągu zostawiano otworem na całą noc. Bał się spać samotnie: miło mu było wiedzieć, że ona jest tuż, blisko niego.

Miast snów, miast nagłych, druzgocących przerażeń, nawiedzała go teraz bezimienna groza. Groza przed czemś, czego nie znał, co czekało na niego, czemu nie mógłby stawić czoła. Wisiało to nad nim nocami, było przy nim rankiem, stawało pomiędzy nim a światłem słońca.

Anna to odpierała. Stała pomiędzy nim a tem. Czuł się nieszczęśliwym i wystraszonym, gdy jej nie było. Zawsze to samo: — „Aniu, ty n i e odejdziesz?"

— Owszem, ale zaraz wracam.

— Kiedy?

Wtedy ona mówiła: za godzinę; albo: za pół godziny; albo: za dziesięć minut.

— No pamiętaj.

— Dobrze.

I znowuż: — Nie wiem, Aniu, czem się to dzieje. Ale wszystko wydaje mi się dobrem, gdy cię mam przy sobie, i wszystko złem, kiedy niema ciebie.

2.

Dwór Manor Farm stoi we wiosce Upper Speed. Szary kościółek z cmentarzem znajduje się poza nim i spogląda na wąwoźną drogę ku fermie Suttona.

Piękny dom z czasów króla Jakóba, kościółek i cmentarz, ferma Suttona i plebanja, cztery chaty i młyn, rzeka i most — wszystko to leży bliziutko siebie, na małej płaszczyźnie wśród kotliny. Zielone pastwiska pną się po wzgórzu na północ; ciemnoróżowe grunta orne, wybronowane, rozrzucone są po obu stronach, na wschód i zachód.

Od północy kotlina zmienia się w wąskie pasemko zieleni obrzeżające wąską rzekę. Ku południowi, pod mostem, woda rozszerza się poczynając od fermy Suttona. Z frontowych okien dworu widać ją — zieloną pomiędzy bronzowemi pniami klonów nadbrzeżnych. Z okien przeciwległych wzrok biegnie ku czarnej, nieruchomej wodzie i szuwarom powyżej młynu. Za rzeką podwójny szereg brzóz o delikatnych nagich gałązkach rozdziela się i dwoma łukami pomyka na wzgórze, by się u szczytu połączyć nanowo w gęstej kępie.

Front domu rozciąga się wzdłuż spadzistego trawnika; ogromny portal wybudowano nakształt skrzydła, z jedną wieżyczką; druga, mniejsza wieżyczka wytryska z dachu od tyłu. Po obu stronach dwa rzędy szerokich czarnych okien, o ciężkich okapach, o grubych kamiennych przegródkach.

Dawniej mieszkał tu Barker, rządca Jerrolda Fieldinga; lecz przed nastaniem wiosny 1916 Barker zaciągnął się do wojska. Wyck Manor przedzierzgnął się w lazaret dla żołnierzy-rekonwalescentów. Zatem Anna i Colin mieszkali w Manor Farm.

Połowę ilfordzkiego folwarku Anny zajął był Rząd; resztę wydzierżawiła wraz z domem i ogrodem. Zamiast własnego majątku, musiała teraz doglądać Manor Farm. Wskutek okoliczności wojennych, nie dało się znaleźć nikogo na miejsce Barkera, została więc Jerroldową rządczynią. Zaczęło się od nieokreślonej obietnicy z jej strony, że od czasu do czasu rzuci okiem na gospodarstwo; lecz gdy nadeszła wiosna, Anna ani się spostrzegła, jak zaczęła pełnić obowiązki Barkera, prowadzić księgi, zamawiać nawozy, obliczać, ile superfosfatu, przetworów azotowych, siarczanów potasu przypadnie na jedną morgę, objeżdżać folwark na Barkerowym koniu, doglądać oraczy, obchodzić pola i stoki wzgórza, by zobaczyć jak pracują nowe siewniki; odwiedzać zagrody, rachując chore owce i jagnięta, nosić na rękach osierocone jagniątka z chlewów do ciepłej kuchni.

Szła poprzez lutowe śniegi i deszcze, poprzez marcowy wiatr i słotę, poprzez opary nizin; nogi miała oblepione ziemią pól zoranych; nozdrza napełniały jej się zimną żyzną wonią wilgotnej gleby; chłonęła jełką, ostrą woń rzepy, suchą woń trawy i siana, gęstą, olejną, wełnianą woń owczarni, ciepłą, pół-słodką, pół-kwaśną woń obór, stratowanej podściółki, mlecznych krowich oddechów, woń gorącego nawozu.

Gdy skończyła lat dwadzieścia pięć, uroda jej ustaliła się zdecydowanie. Odziana w strój do konnej jazdy i spodnie, Anna zdawała się jeszcze smuklejszą, jeszcze silniejszą. Deszcz, wiatr i słońce, oto były kosmetyki jej prężnej, gładkiej skóry. Ciemne oczy świetniały, przemyte czystem powietrzem.

C. d. n.

WŚRÓD NAJNOWSZYCH KSIĄŻEK

ZYGMUNT WASILEWSKI: „Pieśń w górach“. Nakł. Tow. Wyd. „Patria“. Skład gł. w Księg. Zakł. Nar. Im. Ossolińskich. 1930. Rzecz o źródłach i szczytach, o krajobrazie i poetach, echo zamyśleń i zachwytu, książka niejako „przewodnicka“. Prowadzi, pokazuje, tłumaczy i sama patrzy razem, świeża i mądra równocześnie. „Motywem zasadniczym tej książki“ — pisze autor — „niejako jej tendencją, jest myśl, tak znakomicie uzasadniona przez J. Gw. Pawlikowskiego, że prawidłowa kultura duchowa prowadzi człowieka zpowrotem do natury, z którą związek zdawał się być utracony. Dobry, oparty na miłości stosunek do przyrody, jest sprawdzianem postępów jakie człowiek robi w swojej kulturze. Gdyby rozwój ducha miał oddalać człowieka od ziemi, gdyby nigdy już nie miało wrócić odżywcze jego działanie, to zgasłaby w człowieku energja twórcza.“ W myśl tego założenia, z głęboką miłością i zrozumieniem, prowadzi nas znakomity pisarz na strome ścieżki, po których, „przez kulturę do natury“, chadzali poeci, te same, na które jego własna, dojrzała dusza szła się skrzepić i odmłodnieć. Prowadzi nas, przewodnik doświadczony, przez polski źródlany Śląsk, ogląda z nami ostatki pełznącej w oczach, tak jeszcze barwnej wczoraj, etnograficznej huculszczyzny, wywołuje tragiczny cień Mieczysława Karłowicza, błądzący na przestrzeni wsi polskiej, Adrjatyku i Tatr — czyta nam stare listy Goszczyńskiego. Widzimy dawne Zakopane, jawi się Asnyk — a potem, na stokach tych samych gór, młodzi: Fr. Nowicki, zapomniany mistrz sonetu, Kazimierz Tetmajer i on, Hruby Wierch, Kasprowicz... Szumi potężna fala poezji bijąca nimi od gór, urok góralszczyzny i gwary. Prawie połowę książki zajęło świetne studjum o J. G. Pawlikowskim, p. t. „Na wyżynach kultury“, samo jakgdyby wyprawa, podjęta myślą niepospolicie sprawną i polotną na ten, najbardziej samotny ze strzelistych wierchów umysłowości polskiej.

M. W.

Twórczość pisarzy polskich przemówiła nareszcie kilku interesującemi książkami! W ten sposób nasycony został przynajmniej w pewnej części głód czytelników domagających się jakiegoś pożywienia od współczesnej, rodzimej literatury.

Nie obeszło się jednak bez pewnych rozczarowań.

Oto odznaczona nagrodą państwową powieść FERDYNANDA GOETLA p. t.: „Serce lodów“ sprawiła znaczny zawód zwolennikom tego bujnego talentu. Możnaby nawet przypuszczać, że powodzenie jakby zepsuło autora „Kar Chata“ i podnieciło go do triumfów łatwo osiągalnych. Ostatnia jego powieść jest pełną doświadczenia robotą literacką, ale niestety tylko robotą, robotą pozbawioną sugestywnej siły natchnienia i bezpośredniego przeżycia. Od samego zarodku tego islandzkiego tematu, narzuconego ubocznemi okolicznościami, wyłania się siłą rzeczy przykra sztuczność i konwencjonalność. Jest to więc pomyłka pisarza utalentowanego, który w najbliższej przyszłości znajdzie się niewątpliwie na terenie bardziej przyjaznym dla jego istotnych sił twórczych.

Świetny essayista JAN PARANDOWSKI wystąpił po raz pierwszy z własną powieścią. Jego „Król życia“ jest tak modnym obecnie romansem biograficznym. Parandowski opowiada nam tutaj o doli i niedoli Oskara Wilde‘a, a opowiada językiem wybornym, pełnym smakołyków stylistycznych. Ten najbardziej wykształcony w Polsce literat opanował temat całą rozległą skalą swojej erudycji — a przytem przesycił swoją książkę uczuciem wielkiej tkliwości dla Wilde‘a, w którym się zresztą rozkochał od zarania swojej karjery pisarskiej.

Drugim romansem biograficznym jest głośny „Lenin“ OSSENDOWSKIEGO. Ta książka zdobyła sobie olbrzymie, w naszych stosunkach niebywałe powodzenie. W przeciągu krótkiego czasu wyczerpany został cały pierwszy nakład, a przecież ten otyły tom kosztuje aż 25 zł. Ossendowski okazał się w tym wypadku człowiekiem niesłychanie zdolnym. Nietylko bowiem potrafił „Lenina“ interesująco napisać, ale przedewszystkiem sam go świetnie zareklamował...

Czołowy prozaik polski PIOTR CHOYNOWSKI wydał: „Rzeczy drobne i zabawne“ z doskonałemi rysunkami Kamila Mackiewicza. Jest to zbiór feljetonów pisanych różnemi czasy na tematy przeważnie aktualne, zaczerpnięte z życia codziennego. Te minjatury pełne są zwykłych Choynowskiemu zalet, a niektóre wspomnieniom dzieciństwa poświęcone przemawiają sentymentem szlachetnym. Poza tem wszędzie dużo humoru i spostrzegawczości.

Bardzo ciekawą jest książka KOSSOWSKIEGO: „Śmierć w słońcu“. Opowiada w niej autor „Zielonej Kadry“ o nieszczęsnym robotniku polskim Jakubowskim, nad którym spełniło się ohydne morderstwo niemieckiej sprawiedliwości. Kossowski, który jeździł na rewizję tego procesu i poznał sprawę aż do najdrobniejszych szczegółów, odtwarza w swej książce w formie opowiadania drgającego życiem i prawdą losy Jakubowskiego. Pomimo tendencyjnego założenia „Śmierć w słońcu“ ma tyle niepospolitych zalet pisarskich, że czyta się ją jak najprzedniejszy romans.

„Zmowa mężczyzn“ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA to powieść napisana ze znacznym wysiłkiem. Czuć w niej rzetelne zmaganie się z tematem, czuć, że się tu wtłacza nadmierne przędziwo wyobraźni w formę opanowaną i ścisłą. Jest to twór przemyślany do końca, gdzie nic nie mogło być niespodzianką dla autora. W sposób bardzo subtelny i powściągliwy ukazał Iwaszkiewicz przepastną różnicę pomiędzy światopoglądem mężczyzny i kobiety, stworzył całą galerję typów interesujących, pokazał konflikty i zdarzenia wcale niebanalne. Najsłabiej wypadły afery paryskie. Za bardzo nam przecież utkwiły w pamięci genjalne wiwisekcje Balzaca, abyśmy mogli uwierzyć w te oszustwa spreparowane tak prostodusznie i naiwnie. Iwaszkiewicz zostaje pod niewątpliwym wpływem intelektualistów francuskich. Od nich wziął cierpkość wysłowienia, opanowanie formy i podskórną tendencję rozumową. Ale nie zatracił własnej samodzielności. Jego powieść ostatnia jest zjawiskiem godnem największego zainteresowania.

Wśród falangi tłumaczeń, z których część przeważna grzeszy niedbałością i przypadkowością, należy jednak zanotować kilka usiłowań interesujących i bardziej starannych.

Przedewszystkiem setny tom bibljoteki Boya.

Jest to „Lamiel“ STENDHALA. Powieść niedokończona, miejscami szkicowana tylko, ale jakże interesująca. Lamiel to dziewczyna tak bardzo w swojej epoce przedwczesna, tak zuchwała i biorąca od życia to wszystko, czego pragnie, pogardzająca przesądami i czułostkowością, była genjalnem przeczuciem kobiety dzisiejszej. Słusznie też pisze Boy w swojej przedmowie: „Wszystkich, którzy kochają Czerwone i czarne (a jest ich w Polsce cały legjon, wiem o tem), zelektryzuje niewątpliwie wiadomość o żeńskiej odbitce Juljana Sorela, i to odbitce nieskończenie przewyższającej urokiem tego ambitnego i ponurego młodzieńca“.

Po raz pierwszy wprowadzono do nas czołowego pisarza amerykańskiego DREISERA. Jego słynna „Tragedja amerykańska“ odsłania przed nami Nowy Świat od strony zakulisowej. Dreiser analizuje straszliwą oschłość społeczeństwa amerykańskiego i jego moralność konwencjonalną. Niema tutaj zwykłych dekoracyj romantycznych znanych z Londona i Curwooda. Jest to raczej historja człowieka z tłumu, człowieka o wielkich ambicjach, który chcąc dźwignąć się w górę, popełnił zbrodnię i skończył na krześle elektrycznem. W literaturze całego świata trudno jest znaleźć coś tak przerażającego, jak opis tych klatek więziennych, w których skazańcy czekają na śmierć.

Z wydawnictw rozpoczętych dobiegło do końca arcydzieło tegorocznego laureata nagrody Nobla TOMASZA MANNA: „Czarodziejska góra“. Niebawem okaże się również ostatni tom przygód dobrego wojaka Szwejka, który zdobył sobie tak wielką popularność u nas i na całym świecie.

Jednym z najbardziej interesujących i najbardziej wzorowych przekładów jest „Katarzyna II“ WALISZEWSKIEGO. Jej autor jest Polakiem. Niegdyś młody uczony z krakowskiego uniwersytetu rokował wielkie nadzieje. Ale jego uwagi o przyczynach rozbioru Polski wywołały oburzenie i zmusiły go w końcu do porzucenia Ojczyzny. Wyemigrował do Francji i tam właśnie napisał swoją „Katarzynę“, która zdobyła dlań nagrodę Akademji francuskiej, a jednocześnie rozgłos wszechświatowy. Przez długi szereg lat ta znakomita praca nie znalazła dostępu do Polski. Waliszewski przeciwstawił się bowiem tak bardzo popularnym u nas plotkom o Semiramidzie północy i napisał swoją rzecz sine ira et studio. Nie ukrywa jej wad i jej występków, ale nie ukrywa także i jej wielkości. Dopiero w czasach dzisiejszych, kiedy stać nas bardziej na sąd spokojny, można było przyswoić literaturze polskiej tę pracę znakomitą, która została opracowana i przetłumaczona przez Stanisława Wasylewskiego.

Jest to więc książka pod każdym względem bez zarzutu.

ST. DZ.

„Dziewięć płaczek-nieboraczek“, J. PORAZIŃSKIEJ, z ilustracjami J. Wisznickiego. Nakł. Księgarni Jakubowskiego, Lwów, 1930. — Opowieść dla dzieci, osnuta na tle przesądu ludowego. Dla uspokojenia płaczliwego dziecka, podrzuca się dziewięciu sąsiadkom „płaczki“ szmaciane; krzywda ludzka jednak nie tuczy i obraca swe ostrze przeciw krzywdzącemu. Książka napisana pogodnie, pół — prozą, pół — dźwięcznym i miłym wierszem, jak wszystkie utwory Porazińskiej. Starannie wydana, z barwnemi ilustracjami, sprawi niewątpliwie wiele radości dzieciom.

H. ROSTAFIŃSKA-CHOYNOWSKA

CZEM SIĘ INTERESUJĄ AMERYKANKI?

Czem się interesują Amerykanki? Nie każda tem samem, to pewne. Ale, że w kraju, którego statystyka wykazuje ogromny procent kobiet pracujących zarobkowo i zawodowo, sprawy zawodowe są jednem z ważnych zainteresowań kobiecych, tego zaprzeczyć nie można. Prasa codzienna nie skąpi nam częstych wiadomości o Amerykankach, które osiągnęły stanowiska wyjątkowe; którym w udziale przypadł już to łańcuch burmistrza, już to toga sędziowska, lub inne z dużą odpowiedzialnością połączone zaszczyty. I niewątpliwie, wyjątkowe karjery kobiet, które wbrew wielowiekowym uprzedzeniom potrafiły skutecznie współzawodniczyć z mężczyznami o tego rodzaju stanowiska, muszą budzić zaciekawienie, a dla kobiet obdarzonych inicjatywą, energją i ambicją mogą stanowić podnietę do szukania odpowiedniego swoim zdolnościom pola pracy. Jeśli jednak te artykuły mają dawać możliwie wierny obraz życia Amerykanek, to ważniejszem niż głośne sukcesy jednostek wydaje mi się dzieło licznych, skromnych i niereklamowanych pracownic służących na ważnym posterunku, jakiego potrzebę wyłoniły warunki spółczesnego wielkomiejskiego życia. Chcę dzisiejszą stronicę poświęcić amerykańskiej policji kobiecej.

Policja kobieca? Kobieta-policjantka? Sama nazwa brzmi dziwnie i nasuwa wątpliwości. A więc może kobieta w uniformie, patrolująca ulice i biorąca udział w obławach na złoczyńców? Czy znalazłyby się kobiety gotowe podjąć się takiego zajęcia? Nie, nic podobnego. Kobieta w służbie bezpieczeństwa, tak jak rzecz ta jest postawiona w dużych miastach Stanów Zjednoczonych, jest pracownicą społeczną, która tem głównie różni się od społeczniczek pracujących ochotniczo w rozmaitych „settlementach“, „armjach zbawienia“ i podobnych organizacjach, że może w każdej chwili powiedzieć: „w imieniu Prawa“ i zmusić opornych do posłuchu. Zajmując się przedewszystkiem kobietami i dziećmi czyni ona to, czego mężczyzna w służbie bezpieczeństwa zrobićby nie był w stanie.

Jest więc ona przedewszystkiem nieznanym opiekunem młodej dziewczyny igrającej z niebezpieczeństwem i nieświadomie stającej nad krawędzią przepaści. Na ulicy, czy w lokalach rozrywkowych, gdziekolwiek dziewczęta wchodzą i gdzie doświadczony, przewidujący przyjaciel, znający kręte manowce zła i nieuchronny wynik igrania z niem, może im być potrzebny, tam gdzie młodość i niedoświadczenie widzi tylko pozłótkę pokusy, tam ona, kobieta w służbie bezpieczeństwa, musi mieć oczy otwarte i decyzję szybką. Nie może ona — wzorem filantropów — wyników swej pracy ująć w statystykę rozdanych ubrań i rozdzielonych posiłków; działalność swą musi osłonić dyskrecją, przez co dopiero zasługi jej wobec jednostek ocalonych nabierają pełnej wartości. Główną bronią policjantki jest stanowczość połączona z wyrozumiałością i przekonywające napomnienie, które nie może kryć w sobie żądła złośliwości.

Policjantką musi być osoba z powołania, uważająca swój zawód za coś więcej niż sposobność do zarobkowania. Praca jej jest ciężka i wymagająca poświęcenia. Musi ona być tam, gdzie powódź światła i taneczna muzyka wytwarzają atmosferę tak ponętną dla młodzieży. Jej zadaniem jest rozpoznać wśród tłumów te dziewczęta, które po raz pierwszy może poszły „poza szkołę“ lub opuściły swe zwykłe zajęcie aby pójść do kina lub do hali dancingowej. Do niej należy nietylko wywiad w sprawie dzieci żebrzących po ulicach, ale i zastosowanie całej skali środków zapobiegawczych. Musi ona pełnić służbę nocną na ulicach i w parkach, w poszukiwaniu dziewcząt, które porzuciły dom. Musi iść z pomocą ofiarom narkotyków; nie może jej odmówić nawet beznadziejnym wyrzutkom. W dzień, odwiedza ona wielkie magazyny stanowiące pokusę dla złodziei sklepowych, których wielki procent stanowią dziewczęta i młode kobiety. Jej działalność na tem polu dąży nie tyle do uzyskania wymiaru sprawiedliwości, ile do tego, aby delikwentkę-nowicjuszkę, przez indywidualne traktowanie jej wypadku, uleczyć z nałogu. Że jest to możliwem, najlepiej wykazuje statystyka. W jednem z dużych miast na wschodniem wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, na sto „szoplifterek“, które zostały przez kobiecą policję wykryte, w ciągu kilku lat następnych tylko trzydzieści powraca na ławę oskarżonych. Inne są uleczone.

Opinję publiczną często podnieca wypadek tajemniczego zniknięcia młodej dziewczyny. Ale do wiadomości publicznej wielkich miast dochodzą tylko te wypadki, które ze względu na swe okoliczności nadają się na materjał dla sensacyjnej prasy. W samym Waszyngtonie i jego najbliższej okolicy, w mieście stosunkowo bardzo spokojnem, rok rocznie przepada tajemniczo około tysiąc dwieście dziewcząt, z których odnajduje się przeszło tysiąc, w wielkiej mierze dzięki działalności kobiecej policji. Przepadanie dziewcząt jest zjawiskiem codziennem w życiu wielkomiejskiem, a w wypadkach tych figurują zarówno dziewczęta miejskie jak i przybyłe z prowincji.

Gdy kobieta lub młoda dziewczyna znajdzie się w sądzie, na ławie oskarżonych, często w okolicznościach, w których przygnębienie i wstyd zmuszają ją do milczenia, powinna znaleźć się koło niej życzliwa kobieta. Tak twierdzi pani Van Winkle, dyrektorka policji kobiecej w Waszyngtonie. Ale praca policji kobiecej byłaby niezupełną, gdyby nie przewidywała dalszej opieki nad jednostkami uratowanemi z bezpośredniego niebezpieczeństwa lub podniesionemi chwilowo z upadku. Konieczną jest więc współpraca z instytucjami społecznemi, które przez przytułki, agencje pracy i t. d. mogłyby udzielać dalszej pomocy i opieki.

Był czas, kiedy mówiono, że nikt nie jest tak ostrym i bezwzględnym sędzią kobiety upadłej, jak kobieta uczciwa. W ostatnich czasach twierdzenie to traci swą słuszność. W miejsce bezwarunkowego potępienia pojawiła się wyrozumiałość, która nie pozwala wyprzeć się i kamieniować grzesznicy. Jest w tem pewne rozszerzenie uczuć macierzyńskich, które każe osłaniać i tę co zbłądziła, i tę która jest w niebezpieczeństwie, w imię wspólności płci. Dodajmy do tego stanowisko urzędowe — i oto jest kobieta w służbie bezpieczeństwa.

Jak widać z dotychczas powiedzianego, główną metodą pracy kobiecej policji jest zapobieganie i roztaczanie opieki, a praca tego rodzaju wymaga jednostek z wybitnym charakterem, wykształconych, i zaprawionych do pracy społecznej. To też wymagania stawiane kandydatkom są znaczne. W Waszyngtonie np. warunki przyjęcia przepisują wiek od 25 do 35 lat, wzrost więcej niż średni, normalną tuszę i zdrowie, a pozatem egzamin wstępny. Egzamin ten dotyczy znajomości współczesnego świata, stosunków społecznych ze szczególnem uwzględnieniem stosunków lokalnych i metod pracy społecznej. Przeszłość kandydatek jest badana skrupulatnie i wielostronnie, tak aby można było ocenić je co do zdatności, zdolności i cech indywidualnych. Dobre ogólne wykształcenie, znajomość socjologji, ekonomji, kryminologji, psychologji i t. p. przeważają zawsze na korzyść kandydatek. Jednem słowem, na stanowisko w służbie bezpieczeństwa kwalifikują się tylko jednostki lepsze niż przeciętne.

Ale to nie jest wszystko. Wymaga się bowiem od kobiety w tej służbie poświęcenia i gorliwości. Praca jej jest najcięższa wtedy, gdy reszta świata używa spoczynku lub rozrywek. Musi ona być gotowa na każde wezwanie, na każdy dźwięk dzwonka telefonu. W tem ciągłem pogotowiu zawód jej dorównywa zawodowi lekarza. I w rzeczywistości, kobieta w służbie bezpieczeństwa, pojętej tak zaszczytnie jak to ma miejsce w dużych miastach amerykańskich, jest lekarzem, lekarzem chorych dusz i to lekarzem nowego pokroju, kładącym nacisk główny na higjenę i zapobieganie. W zawodzie tym niema miejsca dla jednostek egoistycznych, wygodnych lub liczących swe obowiązki na tyle a tyle godzin dziennie.

Instytucja policji kobiecej nie jest dziś ograniczona do samych tylko Stanów Zjedn. Warunki życia społecznego, dzięki wspólnej cywilizacji, stają się coraz to bardziej jednakie we wszystkich państwach i wiodą za sobą te same społeczne cierpienia, dla których zwalczania musi się sięgać po te same środki zapobiegawcze. Powstała więc już policja kobieca w Anglji, w Niemczech, w Japonji, w Polsce i we wielu innych krajach. Istnieje nawet „Międzynarodowe Stowarzyszenie Kobiet w Służbie Bezpieczeństwa“ (International Assotiation of Policewomen), którego prezeską jest wymieniona już powyżej pani Van Winkle.

Tej pani Van Winkle, będącej w swym idealizmie bardzo typową Amerykanką, godzi się poświęcić słów parę. Historja jej życia jest subtelnym przykładem ironji losu, który lubi przekreślać ludzkie plany i zamiary.

Wychowali ją dziadkowie. Babka była osobą skostniałą w dawnych pojęciach i apodyktyczną. Wyznawała ona teorję „bluszczowej“ kobiecości, potrzebującej koniecznie podpory i próbowała przekonać swą zdolną i pragnącą wiedzy wnuczkę, że jedyną drogą do szczęścia jest tłumienie swej indywidualności, gdyż mężczyźni nie lubią żon mądrych i wykształconych. Zabiegi babki, która nie dopuściła do wyższego wykształcenia Miny, zawiodły na całej linji. Mina — jako młoda dziewczyna — uczuła pociąg do pracy społecznej, zerwała z tradycjami wszczepianemi jej przez wychowanie domowe i przyjęła posadę dozorczyni w domu poprawy dla wykolejonych dzieci w Newark. W czasie wojny, mając już za sobą duże doświadczenie na obranem polu pracy oraz gorący udział w ruchu kobiecym, zostaje organizatorką waszyngtońskiego biura wojennej administracji rozdziału środków spożywczych (Food Administration). W tym czasie, wbrew przepowiedniom babki, wychodzi zamąż. Gdy po wojnie, organizuje się w Waszyngtonie kobieca policja, Mina Van Winkle tak przejmuje się tą sprawą, że ofiarowuje się prowadzić nudną i monotonną pracę biurową tej organizacji. Nie na długo jednak, gdyż w krótkim czasie zostaje jej dyrektorką i osiąga możność wcielania w życie swoich zasad i ideałów pracy społecznej.

Pani Van Winkle jest osobą w sile wieku; ale o niej to sławny Emerson, specjalista organizacji wydajnej pracy, powiedział: „Nie dajcie się zwieść loczkom i dołkom w policzkach. Ta kobiecina ma tysiąc lat — mądrości i doświadczenia.“

WANDA RICHARD

DEKOLT I SMOKING

Że Polacy posiadają dużą towarzyską kulturę, temu nie można zaprzeczyć; że mimo tego pewne zewnętrzne przejawy tej kultury są u nas lekceważone, a nawet świadomie bojkotowane, tego znowu nie należy ukrywać.

Mam przedewszystkiem na myśli anarchję jaka u nas panuje w zakresie przystosowania stroju do okoliczności, zwłaszcza gdy ta okoliczność nadarza się wieczorem. Bezpośrednio po wojnie cała Europa była pod tym względem dosyć bezceremonjalna, teraz jednak rzeczy wróciły do normalnego stanu i chwilowa, zupełnie zresztą zrozumiała pobłażliwość ustąpiła dawnej etykiecie.

Tymi, którzy zawsze mogli i mogą służyć za przykład w tym kierunku, są oczywiście Anglicy, gdyż to, co w innych krajach bywa praktykowane tylko w bardzo wykwintnych i zamożnych kołach — w Anglji jest zwyczajem powszechnym, wśród ludzi, którzy pragną uchodzić za dobrze wychowanych, bez względu na swoją skromną socjalną czy też finansową sytuację. Dlatego też, jeśli będąc w Anglji otrzymam jakiekolwiek zaproszenie, nie jestem nigdy w kłopocie jak się ubrać. Wiem, że gdy idę na proszone śniadanie czyli nasz obiad, to mam włożyć skromną wizytową suknię, na herbatę albo cocktail-party — strojną, a do kolacji toaletę wieczorową. Wiem także, że w pierwszym wypadku panowie będą w marynarkach, w drugim w ciemnych ubraniach albo żakietach, a w trzecim w smokingach, lub we frakach. Nie spotka mię pod tym względem nigdy żadna niespodzianka, towarzystwo stanowić będzie zawsze jednolity i miły dla oka obraz.

U nas w Polsce, poza oficjalnemi przyjęciami, niespodzianki pod tym względem są na porządku dziennym. Przedewszystkiem otrzymawszy zaproszenie, każdy pyta jak się ubrać. Gościnna gospodyni, chociaż w skrytości serca pragnęłaby aby przyjęcie wypadło okazale i aby wszyscy goście pięknie się zaprezentowali, poczytuje sobie za obowiązek odpowiedzieć dobrodusznie: — Jak państwu dogodnie, niema żadnego przymusu. — Taka odpowiedź uchodzi za dowód uprzejmości i serdeczności. W rezultacie, na wieczornem przyjęciu, w którem bierze udział kilkanaście osób, jedna z pań ukazuje się w kostjumie, druga w dekoltowanej sukni, trzecia w strojnej toalecie z rękawami, czwarta w switerze, piąta w letniej sukience, którą w lecie nosiła na plaży, szósta usprawiedliwia się, że nie miała czasu się przebrać, wobec czego nie może zdjąć płaszcza, a siódmej żadna siła ludzka nie ściągnie kapelusza z głowy, bo myła głowę i zapomniała pójść do fryzjera.

A panowie? Panowie urządzają istną rewję mód męskich. — Brak tylko kostjumów kąpielowych.

Jeden siedzi wściekły, bo go żona zmusiła wystroić się w smoking, co nie przyszło na myśl nikomu innemu z obecnych. Jakiś młodzieniec gryzie się znowu swoim frakiem, który jako numer solowy, zagraża właścicielowi pomyłką wzięcia go za lokaja. Jegomość w poważnym wieku, przewietrza po wszystkich pokojach swój przepojony naftaliną anglez, a jego młodszy synek korzysta z okazji, aby zaprezentować nowiutką marynarkę i migdałowe pantalony. Pan domu chcąc godnie przyjąć gości, paraduje w żakiecie, na co jego koledzy biurowi patrzą złem okiem, uważając to za chęć upokorzenia ich popielatych i bronzowych garniturów.

Każdy wchodząc do salonu, obrzuca niespokojnym wzrokiem całe zgromadzenie, aby się zorjentować czy wystąpił jak należy, i niema nikogo ktoby sobie jakichś wyrzutów nie robił i nie miał żalu do pani domu za pobłażliwość, która go wprowadziła w ambaras. Po powitaniu następują rozmaite usprawiedliwienia i tłómaczenia. — Przepraszam, nie wiedziałem... czemu mię państwo nie uprzedzili?! — Są tacy, którzy okazują gotowość wrócenia do domu i przebrania się. Przebrać się! Ale w co? — czy należy się dostosować do tego samotnika we fraku, czy do migdałowych pantalonów, czy do pana domu?

Bywają ludzie tak zaaferowani swym niestosownym strojem, że im to psuje cały wieczór, zwłaszcza gdy noszą marynarkę, podczas kiedy pięciu innych jest w smokingach, lub smoking, gdy dziesięciu innych jest w marynarkach.

Proszę mi nie zarzucać, że przesadzam i maluję ten obraz w zbyt jaskrawych kolorach. Brałam już nieraz udział w tego rodzaju przedstawieniach i bywałam sama w bardzo niemiłem położeniu. Raz zaproszono mię na obiad o wpół do drugiej. Panie w toaletach, które nigdy światła dziennego widzieć nie powinny. Wyglądałam przy nich jak uboga krewna. Innym razem zaproszono mię na kolację. Jedna połowa towarzystwa wzruszała ramionami na mój widok a druga pytała mię czy wybieram się na bal.

W jednym wypadku bowiem istnieje u nas jednomyślność — gdy chodzi o bal. Pozatem wszelkie fantazje są dopuszczalne.

Ludzie są w błędzie sądząc, że angielski obyczaj przebierania się wieczorem ma swe źródło w snobizmie. Jest on raczej podyktowany wymaganiami czystości i higjeny, zwłaszcza gdy chodzi o mężczyzn. Przebrać się wieczorem, to znaczy nie tylko włożyć smoking; to przedewszystkiem znaczy wykąpać się, ogolić, zmienić bieliznę i pozbyć się wszystkich naleciałości, jakie całodzienna praca w biurze, szpitalu, czy też w fabryce i nieuniknioná styczność z kurzem ulicznym na każdym pozostawia. I doprawdy przyjemniej jest zasiąść do stołu lub pójść do teatru z panem, który wonieje wodą toaletową, niż z takim, który pracując cały dzień w pocie czoła, nie uważa za stosowne to czoło nieco wieczorem odświeżyć.

Ludzie, którzy pracują, powinni, pod tym względem znacznie bardziej dbać o siebie niż ci, którzy nic nie robią. Tymczasem, bywa zazwyczaj przeciwnie. Anglik to rozumie, i dlatego przebiera się nietylko dla gości, lecz gdy tych gości niema, dla żony i dla siebie samego.

Nie zamierzam zupełnie wymagać tak wielkich poświęceń od naszych panów, radabym tylko aby zadali oni sobie ten trud gdy chodzi o wyjątkowe okoliczności. Mówię trud, ale jest to wyraz za słaby. Mężczyźni bowiem miewają paniczny strach przed czarnym kolorem, sztywnym gorsem i lakierowanemi butami; uważają je za narzędzia tortur, z któremi, o ile się tylko da, należy unikać wszelkiego kontaktu.

Że wieczorowy strój męski, w porównaniu z dzisiejszym strojem kobiecym, pozostawia pod względem wygody bardzo wiele do życzenia — na to zgoda. Dlaczegoż jednak mężczyźni nie wyemancypują się z pod tyranji pewnych szczegółów, tak jak myśmy to zrobiły?

Dwa lata temu, pan Maurycy de Waleffe, znany dziennikarz paryski, niezmordowany impresario konkursów piękności i nieomylny ekspert w kwestjach mody, rozpoczął kampanję przeciwko nowoczesnej modzie męskiej, starając się przekonać swych rodaków, że powinni wskrzesić dawną elegancję francuską, nosić krótkie spodnie i długie pończochy, co będzie nietylko pięknie, lecz także patrjotycznie, albowiem dzisiejsze workowate niewyrażalne są jak wiadomo pochodzenia angielskiego. Kampanja się nie udała. Angielskie worki przetrwały grożące im niebezpieczeństwo i męskie odnóża wszelakich narodowości gnębione są nadal surową klauzurą. Widocznie mężczyźni mają mniej odwagi, albo więcej kokieterji niż kobiety i dlatego nie chcą tak jak my wystawiać na widok publiczny różnych niedoskonałości natury. Te względy są zrozumiałe, a nawet chwalebne. Niezrozumiałym natomiast jest upór maltretowania szyi. Miękki, batystowy czy jedwabny kołnierz koszuli, wzorowany na modzie osiemnastego stulecia i o! rewolucjo! zakończony koronkowym żabotem, godziłby się nienajgorzej z nowoczesnym frakiem czy smokingiem i osłaniałby równie dobrze jabłko Adama, jak krochmalony chomąt. Pod tym względem wielka szkoda, że teorje pana de Waleffe nie miały powodzenia. Byłoby mniej apopleksyj, mniej awantur z praczką, mniej spinek do gubienia i mniej wymówek do nieprzebierania się wieczorem. Bo przecież sztywny gors i ostry jak nóż kołnierzyk jest głównym argumentem w tej toaletowej opozycji. Dzięki nim właśnie, widujemy smokingi przeważnie tylko... na filmach.

Ale męskie żaboty, to marzenie ściętej głowy. Trzeba się pogodzić ze stanem rzeczy jaki jest i skłonić jakoś naszych panów do noszenia wieczorem twardej obroży (przepraszam za zbyt śmiałe porównanie) i znienawidzonego smokinga.

Mężczyznom tak do twarzy w czarnym kolorze i śnieżnej bieliźnie! Panowie! Zechciejcie mi wierzyć — naprawdę wam do twarzy...

Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jakie błogosławione skutki może mieć w tym wypadku przestrzeganie etykiety. Nie myślcie, że serce kobiety jest tak całkiem niezależne od oczów... Wzrok — to posłaniec miłości.

Pamiętacie tę śliczną strofę?:

— Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza. —

Słyszycie?! Kochać przymusza! Nasz zmysł wzroku nie różni się niczem od męskiego; jest w takim samym kontakcie z sercem i duszą jak i wasz.

A w smokingu i śnieżnej bieliźnie tak wam do twarzy...

A panie? Panie łatwiej namówić do wieczorowego stroju. Jeśli u nas poza karnawałem widuje się tak rzadko kobietę w dekoltowanej sukni, to przedewszystkiem dlatego, że te, które na bale nie chodzą, wieczorowych sukien nie mają. Bardzo niesłusznie. Tego rodzaju suknia jest równie potrzebna w garderobie damskiej jak każda inna. Nie musi to być koniecznie jakaś wspaniała i kosztowna toaleta. Wystarczy gdy będzie bez rękawów i trochę wycięta. Przesadna wspaniałość byłaby nawet w złym guście, gdy towarzysz nie idzie we fraku lecz tylko w smokingu. Można taką suknię sporządzić z jakiegokolwiek materjału; będzie ona nawet tańszą od sukni wizytowej. Ładne ramiona, piękna karnacja ciała, zręcznie przypięty kwiat — zastąpią efekty, nad któremi wysila się droga krawcowa.

Tak jak zalany słońcem brzeg morski, przyciąga kolor biały, tak jak wielkomiejska ulica może być terenem tylko bardzo umiarkowanej elegancji, tak wieczorem oświetlony salon domaga się strojów będących dopełnieniem jego atmosfery i obrazem dostosowanym do jego ram. Estetyczna potrzeba przeobraziła się w prawidło konwenansu, które w tym wypadku jest logiczne, miłe i zewszechmiar polecenia godne. Dlatego bądźmy solidarni. Wieczorem — dekolt i smoking.

RITA REY

Półpoście, mi-carême.

Coraz mniej ludzie skłonni się radować na urząd, w oznaczone zgóry dnie. A jednak tradycyjne święta są jeszcze we Francji obchodzone.



W ten dzień, który post na dwie części dzieli, całe kilometry ulic zwartym szeregiem stoi publiczność. Policja strzeże porządku, zmienia bieg autobusów, zatrzymuje tramwaje, gwałci prawa przechodniów.

Środkiem miasta sunie pochód, wśród fanfar i bijących fontan, wśród śpiewów i oklasków, w różnokolorowym deszczu rzęsiście padających kartek z ogłoszeniami.

Pochód otwiera gwardja narodowa, o czarnych i czerwonych ogonach końskich przy kaskach, dalej jedzie pan Sabatier, kawaler wielu orderów, prezes komitetu zabawowego miasta Paryża. Za nim korowód maskaradowy.

Rzeźnicy ciągną tłustego wołu na pamiątkę czasów, gdy w ciągu całego postu jedynie dnia tego wolno było jeść mięso.

Obracają się ukryte pod dekoracjami koła wozów reklamowych, głoszące wyższość jednych wyrobów nad drugiemi. Bezprzykładne powodzenie jakiejś nowej firmy. Naprzykład kawy „Ethel".

Kawałek pustyni zmieścił się na automobilowej platformie — razem z wypchaną małpą, palmą i dzikusami.

Wóz Ligi Narodów dźwiga srogiego Brianda — wielką płaską drewnianą zabawkę, który na oczach naszych podpisuje pakt Kelloga. Niewinny aniołek podaje mu tablicę.

Fakir jedną ręką głowę sobie ucina, a drugą poskramia jadowitego węża. Korsyka, skalista ojczyzna Napoleona, przesuwa się na wozie razem z innemi osobliwościami Francji.

Zieloną altanką w Robinson, do której na śniadanie jeździli bohaterowie Alfonsa Daudet. Kilku biało przybranych kucharzy gotuje dla nich obiad, śpiewając zachęcająco: „Tous à Robinson".

Toczą się omnibusy, te które niedawno obchodziły swe stulecie, a w nich, jak wówczas dandy w aksamitnych frakach i pięknisie w budkach przybranych niezapominajkami.

Pod strażą uczniów Akademji Sztuk Pięknych, chlubiących się swem podobieństwem do Delacroix i Deverii, pędzi rozbrykana wesołością czwórka koni Mimi Pinson.

Myśliwi śpieszą na polowanie, strzelcy grają stare melodje, jak niegdyś za królewskich czasów, w lasach Fontainebleau.

Bokserzy zaczynają swe zapasy, wioślarze prują powietrze, skaczą skoczki, pląsają mnichy. Rozegrały się orkiestry wszystkich dzielnic Paryża.

— Madelon, Madelon...

Wschodzi i zachodzi słońce Montmartru.

Auta, pojazdy, rydwany. W nich Marjanny i Królowe. Królowe wybrane z najbardziej uroczych pracowniczek tego pracowitego miasta. A także królowe smakoszów, sportów, kwiatów i elektryczności. Jest nawet rosyjska kandydatka na to 24-godzinne panowanie. Co roku nowe przybywają władczynie, bo z każdym rokiem w tem centrum świata nowe tworzą się państwa.

Pochód zamyka przybrany w kwiaty rydwan Królowej królowych.

Siedzi ona na tronie, w koronie i gronostajach, z herbem Lutecji na piersiach. Ponieważ czasy są demokratyczne, rząd nad poddanymi polega na — posyłaniu im pocałunków. Ta najpiękniejsza z cór Paryża otrzyma też taki jeden znak miłości. W imieniu miasta, a nawet



Francji całej, prezydent Doumergue złoży swe ojcowskie usta na czole chwilowej wybranki ludu.

Dzieje się to już późno wieczorem, gdy nowoczesny Babilon okrywa się świetlistym płaszczem szaleństwa.

MALIBRAN (Paryż)

CUKIER I JEGO WŁASNOŚCI ODŻYWCZE

Pod względem chemicznym zaliczamy cukier do t. zw. węglowodanów, t. j. związków, złożonych z węgla, wodoru i tlenu, w których stosunek wodoru do tlenu jest taki sam jak w wodzie; stąd nazwa „węglo-wodany". Związki te, do których należy również skrobia (mąka), są niezbędnemi czynnikami naszego odżywiania, gdyż spełniają rolę paliwa w maszynie życiowej naszego organizmu. Przed właściwem zużytkowaniem pożywienia zachodzi w organizmie proces trawienia, w czasie którego związki złożone zostają przerobione na prostsze. Wobec tego wielkiem ułatwieniem dla organizmu jest wprowadzanie jako pokarmu substancyj niezłożonych, o ile możności w takiej postaci, by dalsze ich przerabianie w organizmie było już zbyteczne. Żeby wprowadzone do organizmu węglowodany mogły zostać przezeń przyswojone, ulegają zawsze przekształceniu w rozpuszczalny w wodzie cukier. Spożywając tedy węglowodany wprost pod postacią cukru, osiągamy oszczędność energji trawienia i bardzo szybkie przyswojenie ich przez organizm. Już w ciągu pół godziny po spożyciu cukru ulega on całkowitemu wchłonięciu, wobec czego zaliczamy go do najłatwiej strawnych pożywek.

Cukier znajduje się prawie we wszystkich pokarmach roślinnych, owocach, miodzie, a także w mleku, jako tak zwany cukier mleczny. W Europie otrzymywanie go i spożywanie w stanie czystym datuje się dopiero od początku zeszłego stulecia z chwilą wykazania przez Markgrafa i Achardta, że burak cukrowy zawiera znaczną ilość tego samego cukru co w trzcinie cukrowej. Odkrycie to dało początek olbrzymiemu dziś przemysłowi cukrowniczemu. Do czasu bowiem wykrycia cukru w buraku sprowadzać trzeba było cukier z dalekich Indji i Ameryki, gdzie otrzymują go dotychczas przez wysładzanie z trzciny cukrowej, skąd nazwa: cukier trzcinowy. Wysoka cena takiego importowanego cukru czyniła go niedostępnym dla szerszych rzesz. Dopiero otrzymywanie cukru przez wysładzanie buraka cukrowego, surowca europejskiego, obniżyło cenę cukru tak znacznie, że ze stołów królewskich i z aptek zstąpił między najszersze warstwy ludności i stał się dziś artykułem pierwszej potrzeby.

Roczne spożycie cukru na jednego mieszkańca:

Australja	62 kg	Estonja	23 kg
Stany Zjednocz. A. P.	51 „	Francja	21 „
Danja	47 „	W. M. Gdańsk	20 „
Anglja	40 „	Łotwa	19 „
Szwecja	34 „	**Polska**	11,5 „
Norwegja	26 „	Litwa	10 „
Czechy	24 „	Rosja	8 „
Niemcy	23 „	**Nasze kresy wsch.**	5,1—7,0 „

Niestety, gdy porównamy nasze spożycie cukru ze spożyciem innych narodów Europy, widzimy, że jeszcze jesteśmy znacznie wtyle za szeregiem krajów, nie mówiąc o tem, że dla ludności naszych kresów wschodnich cukier dotychczas jest zbytkiem. Nie jest to wina wysokiej ceny cukru, gdyż, jak się przekonamy, cena cukru w kraju w porównaniu z jego wartością odżywczą nie przewyższa ceny innych artykułów spożywczych, ale raczej brak uświadomienia co do istotnej wartości odżywczej tego produktu i konserwatyzm pojęć, wskutek którego przyzwyczailiśmy się uważać cukier za drogi przysmak lub przyprawę, gdy w rzeczywistości należałoby go nazwać tanim środkiem żywności.

Wyznaczmy wartość odżywczą cukru* w jednostkach cieplnych (kalorjach): 100 g cukru odpowiada 400 kalorjom cieplnym; biorąc pod uwagę jego cenę sprzedażną, obliczymy koszt 1000 kaloryj uzyskanych przy spożyciu cukru. Zestawiając w podobny sposób obliczoną energję otrzymywaną z różnych środków żywności, przekonamy się, że tańszem od cukru źródłem energji okażą się tylko kartofle i produkty mączne. Ale i te liczby nie są jeszcze właściwą miarą dla ocenienia wartości odżywczych cukru, będąc bowiem łatwiej strawnym, zużywa on mniej energji na trawienie niż złożone pokarmy mączne, które przed ostatecznem przyswojeniem przez organizm ludzki muszą być wpierw przerobione na cukier.

Za 1.000 jednostek cieplnych (kalorji), wytwarzanych ze spożycia różnych pokarmów, płacimy:

Ziemniaki	około 0,15 zł
Chleb	„ 0,30 „
Mąka pszenna	„ 0,35 „
Cukier	„ 0,40 „
Fasola	„ 0,52 „
Mleko	„ 0,80 „
Masło	„ 1,10 „
Mięso	„ 2,— „
Jaja	„ 3,60 „

Spożyciu cukru stawia się szereg zarzutów, że np. niszczą zęby. Jest to mniemanie błędne; podobnie jak inne węglowodany, m. in. produkty mączne, cukier, pozostający przez dłuższy czas w zetknięciu z zębami w obecności wydzielin jamy ustnej, działywać może ujemnie na emalję zębów; jednakże zalecane usilnie mycie zębów lub przynajmniej płókanie ust ciepłą wodą po jedzeniu, w szczególności po głównych posiłkach, niezależnie od rodzaju spożytego pokarmu, zabezpiecza zęby najzupełniej.

Drugi zarzut, że spożywanie cukru powoduje tycie, jest nieścisły. Cukier nadmiernie spożywany, przy siedzącym trybie życia, działa tak jak wszystkie pokarmy w nadmiernej ilości spożywane: organizm przekształca je na tak zwaną zapasową tkankę tłuszczową. Najwięcej wszakże cukru spożywają Amerykanie i Anglicy, a jednak nigdzie nie widzimy tyle smukłych sylwetek kobiecych, jak w tych krajach bodajże nadmiernego spożywania słodyczy. Do smukłej linji dążyć się powinno nie przez ograniczenie spożywania pokarmów, ale raczej przez ich umiejętny dobór, ruch i sport. Właśnie cukier, dzięki swej łatwostrawności, posiada tę dogodność, że nawet nadmierne jego spożycie łatwo wyrównać można ruchem i sportem.

Szczególnie doniosłą rolę odgrywa cukier w odżywianiu się sportowców. Jak wiemy, intensywny ruch, praca mięśni, zużywa bardzo wielką ilość ciepła (energji), którą należy jak najrychlej uzupełnić dla utrzymania organizmu w sile. Najlepiej do tego celu nadawałaby się wódka*, gdyby nie jej wysoce szkodliwe własności upajające i trujące. Zaleca się wtedy cukier, strawny niemniej od alkoholu; kilkanaście kostek wprost spożytych czy też pod postacią czekolady zmniejsza łaknienie, spowodowane forsownym marszem lub ćwiczeniami. Z tych względów cukier pod różną postacią doskonale nadaje się jako prowiant wycieczkowy, zabierający nadto dzięki swojej wysokiej wartości odżywczej mniej miejsca, niż równoważne mu pod względem odżywczym inne produkty; to też wchodzi on, głównie pod postacią czekolady, w skład zapasów żywności przy większych wyprawach naukowych w okolice bezludne.

Łatwostrawność i taniość cukru oraz tysiące słodkich możliwości, w jakich może być podawany, winny skłonić nas do usunięcia największej wady naszej kuchni: braku słodkich legumin. Słodkie leguminy należy jednak spożywać zawsze jako deser, nigdy zaś przed innemi potrawami, inaczej nie będą nam smakować, stracimy apetyt. Zjawisko nasycenia, odczuwane po spożyciu cukru w formie skondensowanej, np. pod postacią cukierków lub czekoladek, tłumaczy się łatwostrawnością cukru i absorbowaniem przezeń bardzo dużej ilości żołądkowych soków, potrzebnych do rozpuszczenia i przyswojenia cukru organizmowi. Jeżeli jednak cukier spożywamy w stanie rozcieńczonym w kawie, herbacie i t. p., apetyt się nie zmniejsza, co daje możność podawania słodkich zup przed innemi daniami bez obawy utraty apetytu. Jako napój orzeźwiający w porze letniej, szczególnie po wyczerpującej pracy fizycznej, zaleca się cukrzoną wodę, choćby bez dodania specjalnych smaków; orzeźwienie bowiem i wzmocnienie następuje prawie natychmiast wskutek łatwego przyswojenia cukru.

Wprowadzenie cukru do naszych gospodarstw w większej niż dotychczas ilości będzie też wielką radością dla dzieci, wobec których stanowczo jesteśmy niesprawiedliwi, odmawiając im słodyczy, jednego z czynników racjonalnego odżywiania.

Wśród innych cennych własności cukru zaznaczyć trzeba jego własności bakterjobójcze i antyseptyczne, z których korzystamy np. przy przyrządzaniu konfitur, soków owocowych i t. p.

Cukier posiada również znaczenie lecznicze w niektórych chorobach, jak zapalenie nerek, nadmiar kwasów żołądkowych i innych. Według ostatnich głosów prasy fachowej i publicznej cukier jest podobno skutecznym środkiem zapobiegawczym i leczniczym przeciw grypie. To ostatnie wytłumaczyć możnaby wzmocnieniem organizmu przez spalanie się szybko strawnego cukru, analogicznie do rozgrzewającego działania alkoholu, stosowanego np. po zmarznięciu dla uchronienia się przed zaziębieniem. Poza tem przypisać można wodnym roztworom cukru bardzo słabe własności przeczyszczające. Od siebie dodać jeszcze mogę nadzwyczaj dodatnie działanie cukru, cukierków lub czekolady także przy zmęczeniu na tle nerwowem, co jak wyżej wspomniano, również przypisać wypadnie wzmocnieniu organizmu wyczerpanego zbytniem napięciem nerwów.

Z powyższych rozważań wynika, że cukier zawierający skondensowaną i łatwostrawną energję nazwać trzeba najbardziej nowoczesnem pożywieniem. Nie zdziwi nas wobec tego fakt, że narody, odznaczające się szczególną tężyzną i największą ilością wyczynów sportowych, są równocześnie największymi spożywcami cukru. Mam tu na myśli Amerykanów, Anglików i narody północnej Europy. Co do nas, jesteśmy piątym zkolei producentem cukru w Europie, a jako konsument zajmujemy bardzo dalekie miejsce. Winniśmy więc odpowiednio do naszej wytwórczości cukru zwiększyć także jego spożycie, polepszenie bowiem naszego sposobu odżywiania się wpłynie niezawodnie na zwiększenie naszej tężyzny.

FRANCISZEK DAMAŃSKI
były współpracownik Państwowego Zakładu Badania Żywności
(Przedruk z „Organizacji Gospodarstwa Domowego", Nr 2, luty, 1930 r.)

* Sacharyna i dulcyna są sztucznemi środkami słodzącemi, kilkaset razy słodszemi od cukru; nie mają one żadnej wartości odżywczej, a często są szkodliwe dla zdrowia.

* Alkohol ulega całkowitemu przyswojeniu bardzo szybko, bo w niespełna 1/2 godziny. Tę pobudzającą używkę może często zastąpić cukier, czego dowodem gwałtowny wzrost spożycia cukru w Stanach Zjednoczonych po wprowadzeniu prohibicji.

PLOTECZKI O MODZIE

Suknie „tailleur" — dawniej t. zw. płaszczykowe, są obecnie lekko zbluzowane, obcisłe w biodrach, poniżej układane w kontrafałdy lub w fałdy. Na szyi lis, albo szal stonowany z torebką, lub też z kapeluszem.

Suknie popołudniowe — najczęściej z krepy chińskiej, z crêpe marocain, z mory gładkiej lub w deseń. Okrycia z wełny stonowanej są najszykowniejsze. Kapelusze drapowane, z lśniącego jedwabiu, z mory, ze słomki skombinowanej z jedwabiem.

Bolera i pelerynki — widujemy coraz częściej przy płaszczach, kostjumach, sukniach popołudniowych i wieczorowych.

Nowością wśród kamizelek — są pelerynki tej samej długości, spadające od szwu ramion na plecy wyłącznie. Zprzodu wykończone jak żakiet, z małym szalowym kołnierzem, z kieszonkami, zapięte do dołu na guziczki. Nosi się je tak dobrze ze spódniczkami z tego samego materjału, w stylu sportowym i z koszulkową bluzeczką, jak i z sukniami jednolitemi. Ta ostatnia kombinacja jest korzystniejsza dla kobiet tęgich, którym pas w pasie niezawsze dobrze robi. Przy sukniach jednolitych można uniknąć paska i zastosować różne wysmuklające linje przy pomocy zakładeczek, plisek, patek, stebnów.

Staniki i bluzki wiązane na kokardę — są nader wdzięczne w linji. Mają jednak niepożądaną wadę — wymagają więcej materjału, gdyż części służące do wiązania kraje się razem z bluzką czy stanikiem.

Przy pelerynkach, bolerach i bertach — trzeba liczyć się zawsze z linją i wzrostem. Kobiety wyjątkowo małe, wyglądają jak karliczki — kobiety tęgie, nabierają karykaturalnej objętości. Zatem tylko kobiety normalnego wzrostu i tuszy mogą sobie pozwolić na te fantazje mody.

Baskinki — zdobią suknie codzienne i strojne. Dobrze skrojone, wnoszą urozmaicenie do sukien i bluzek, a przy tych ostatnich łagodzą zbytnią wydatność bioder i niezawsze pożądany efekt pasa w pasie.

Rozmieszczenie wolantów i godetów — na sukniach wymaga krytycznej oceny sylwetki. Nie można kierować się w wyborze tylko tem, co się nam podoba, ale przedewszystkiem tem, co podniesie wdzięk linji lub co poprawi pewne jej niedoskonałości. *Kobiety słuszne i smukłe* mogą sobie na wszystko pozwolić. Natomiast np. tusza, wydatny biust lub biodra, krótki stan, wzrost mniej niż normalny wyłączają różne fasony. *Silne biodra* nie pozwalają na wolanty w okolicy pasa, lecz dopiero dużo niżej i najlepiej w linji ukośnej. *Niski wzrost* nie znosi wolantów i falban, umieszczanych w kilku rzędach jeden nad drugim. *Obfity biust* przybiera na rozmiarach przez berty i wolanty u szyi, przez żaboty kloszowo krajane.

Pasków — nie należy zaciskać w pasie, nawet przy sylwetkach smukłych, gdyż psuje to linję sukni i jej ułożenie się na ciele. Pasek powinien leżeć swobodnie, nieco luźnie.

Kostjum tailleur — jeden z najwytworniejszych i najpraktyczniejszych modeli, również nie do każdej sylwetki nadawać się może. Wymaga bowiem doskonałej budowy, albo przynajmniej smukłej i harmonijnej, gdyż uwydatnia bezlitośnie za krótkie nogi lub szyję, zdeformowany biust, zbyt rozrośnięte biodra. Prosta postawa i piękny chód są także niezbędnemi warunkami, jeśli tailleur ma być do twarzy. Rozróżniamy trzy jego odmiany:

Tailleur klasyczny — fantazyjny — i tailleur-redingote. Zanim wybierzemy któryś z nich, poradźmy się lustra, o ile — nie znamy już napamięć swoich wad i zalet. Ale przedewszystkiem pamiętajmy, że pierwszy z nich modeluje ciało dokładnie i wślad za tem wymaga nieskazitelnych kształtów.

Linja stanu — zaznaczona jest krojem lub paskiem.

Pasek oddzielny, gładki — stosowany jest tylko przy sukniach sportowych i codziennych, przy kostjumach, przy płaszczach. Przy sukniach popołudniowych, wieczorowych i wogóle strojniejszych jest drapowany, fantazyjny, przewijany, czasem krajany razem z suknią, czasem inkrustowany, czyli nieoddzielny.

Szal oddzielny — przeżył się. Obecnie tworzy nierozłączną całość z stanikiem, bluzką lub okryciem.

Przy kompletach — płaszczyki muszą być krótsze od spódniczek; długość „trzy czwarte" ustępuje długości „dziewięć dziesiątych".

Płaszcz długi — niezależny od sukni, zakrywa ją całą; bywa też często przybrany w okolicy pasa i bioder różnemi zacięciami, zakładkami, plisami i rozmaitemi odmianami pelerynek.



Strojna bluzka do popołudniowego kostjumu tailleur

Półdługie rękawy — są zapowiedziane do sukien letnich i do toalet półwieczorowych.

Przybrania lingerie — niezmiennie modne.

Gładkie krepy jedwabne — zawsze ulubione; obok nich zdobywają sobie zwolenniczki jedwabie egzotyczne i krepy „façonné".

Jedwabie — bywają często w ten sposób tkane, ażeby mogły udawać wełnę.

Jersey — obok gładkiego, tkany bywa na wzór wełnianych koronek, albo



Kazak z białego crêpe satin; na popołudnie lub wieczór



Kazak z brokatu perłowego na popołudnie lub wieczór



jedwabiu w drobniutkie motywy.

Jersey-tweed — ma gładkość sukienka damskiego.

Modne wzory — wszystkie kwiaty (wśród których ulubienicą jest kamelja), gałązki, liście — całe ogrody przeniesione na wiotkie tkaninki letnie, na muśliny, markizety, krepy, woale, tafty. Kwiaty pozbawione łodyg i liści. Owoce, ptaszki, zwierzątka, motyle, centki, punkciki, szkocka kratka zarzucona kółkami, kurze łapki, deseń skóry węża. Wzory koronkowe czarne na różowem tle, a różowe na czarnem, białe zaś na ciemnem, jako też stare gobelinowe dają ciekawe efekty. Krepa chińska upodobała sobie wzory z kart, gałązki konwalij, dzwoneczki leśne; crêpe antique — archaiczne wzory; muśliny, woale i markizety miewają ciemniejsze szlaki, łagodnie stopniowane z girlandami kwietnemi. Z płócien jedwabnych: Seigneurette — gładka; Petite Reine — gładka, ze szlakiem, lub tkana jak płaskorzeźba; Toile Deauville — tkaninka gładka, w paski drukowane lub tkane. Na stylowe — tafta ombré, albo szkocka. Wkońcu modne są wzory zapożyczone z krawatek męskich.

Aksamit Panthère — nazwa określa wzór — na okrycia i kapelusze.

Kołnierze „Medicis" — przy płaszczach, z materjału lub z futra, a przy sukniach strojnych z koronki lub tkanin przejrzystych.

Do podróży — najlepszy będzie komplet złożony z czterech części: z bluzki, spódniczki, krótkiego żakiecika z paskiem i z płaszcza.

Modne materjały na dzień — jedwabne krepy matowe, gładkie; jedwabie egzotyczne jak shantung i tussor, krepy wzorzyste, drukowane, crêpe satin, surah, twill, fular. Jersey façonné, wełny szorstkie a przezroczyste mimo gęstej tkaniny, jersey-tweed, krepy wełniane przypominające wyglądem i rzutem fałdów jedwabne krepy. O-



bok jerseyu, na codzienne i sportowe modele, prześliczna tkanina Micromaille, połączenie wełny z jedwabiem.



Na wieczór: ciężkie krepy jedwabne, Mongol, Birman, Opulant, Futaine, Fortunio, Malgache, satin-Monarque, itd. muśliny wzorzyste i przerabiane z lamą, żorżeta, miękka mora, crêpe satin, faille, jedwabie façonnés, koronka i tiul grubo tkany.

Modne kolory na dzień: niebieski we wszystkich odcieniach od jasnego do granatowego włącznie; czarny, blado-zielony z nalotem popielatawym, zielony soczysty, biały, żółty i najnowszy: kolor skorupki jaja. Łączenia kolorów: biały z czarnym, brunatny z białym, brunatny z beige, brunatny z różowym, granatowy z białym. Rubinowy, beige i popielaty wchodzą w grę przy łączeniach zwłaszcza przybrań.

Na wieczór: czarny, biały, wszystkie odcienie pastelowe, głęboki błękit. Muślin wzorzysty: na białem tle pastelowe kolory.

Schemacik długości sukien — zmieniającej się stopniowo od rana do wieczora: suknia na codzień—34 cm od podłogi; suknia do podróży—38 cm od podłogi; suknia popołudniowo-wizytowa — 25 cm od podłogi; suknia na przyjęcia wieczorne — do kostek; suknia balowa — do ziemi.

Kostjumy tailleur — z jedwabiu, są nowem zjawiskiem. Przeważnie z crêpe satin, albo z mory, muszą być bardzo proste w kroju i w szczegółach, by nie robiły strojnego wrażenia.

Wąskie pelerynki — ukazały się przy wielu modelach sukien tailleur. Nie mają one nic wspólnego z capes, krajanemi kloszowo, a zatem szerokiemi dołem, gdyż prawie obciskają plecy i ramiona.

Marabuty — zdobią negliże poranne i wieczorne, oraz pantofelki domowe

CAILLER SOBAŃSKA









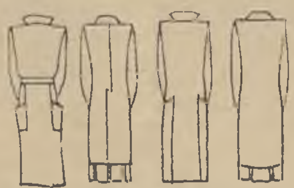


Bluzki codzienne z rozmaitych materjałów

MODELE MÓD
PŁASZCZE I KOMPLETY WIOSENNE



1028 Płaszcz z miękkiej bronzowej wełny, przybrany grubym stebnem. Krój prosty, który mimo wszelkich fantazyj mody, utrzymał się i na sezon letni.
1029 Komplet z tweedu; spódniczka z odciętą bluzą, układana w głębokie kontrafałdy. Bluzeczka z białego jedwabiu do prania. Płaszczyk z kołnierzem z płaskiego futerka.
1030 Płaszcz z czarnego sukienka, zapięty na jeden guzik. Krój lekko przylegający, zacinany zprzodu i na biodrach.
1031 Komplet z tweedu beige z bronzowym. Bluzka w kolorze skorupki jaja z krepy chińskiej, zapięta zprzodu na guziczki i przybrana zakładkami. Spódniczka złożona z czterech kontrafałdów, zastebnowanych od paska i dopiero dołem puszczonych wolno.



Szyjmy wyłącznie z wyrobów krajowych





1032 Kostjum angielski z granatowej wełny. Żakiet zapięty na jeden guzik, kieszenie zacinane.
1033 Kostjum z angielskiego materjału. Żakiet długi, bez kołnierza, wyłogi z odwrotnej strony materjału. Kieszenie i przody zacinane.

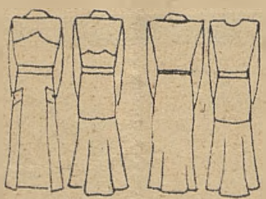
1034 Kostjum z cieniutkiego tweedu jasnopopielatego. Żakiecik luźny, z oryginalną plisą dookoła. Kamizelka z grubego jedwabiu pomarańczowego; bluzeczka biała.
1035 Kostjum sportowy z tweedu, przybrany stebnem, guzikami i paskiem zamszowym.

Materjały krajowe nie ustępują w niczem wyrobom zagranicznym



1036 Suknia z cienkiego tweedu w kolorze perłowym w granatowy deseń. Krój jednolity, zbluzowany; boczne kontrafałdy i kieszenie nakładane. Pasek ze skóry. Pantofelki, kapelusz, pasek i rękawiczki stonowane.

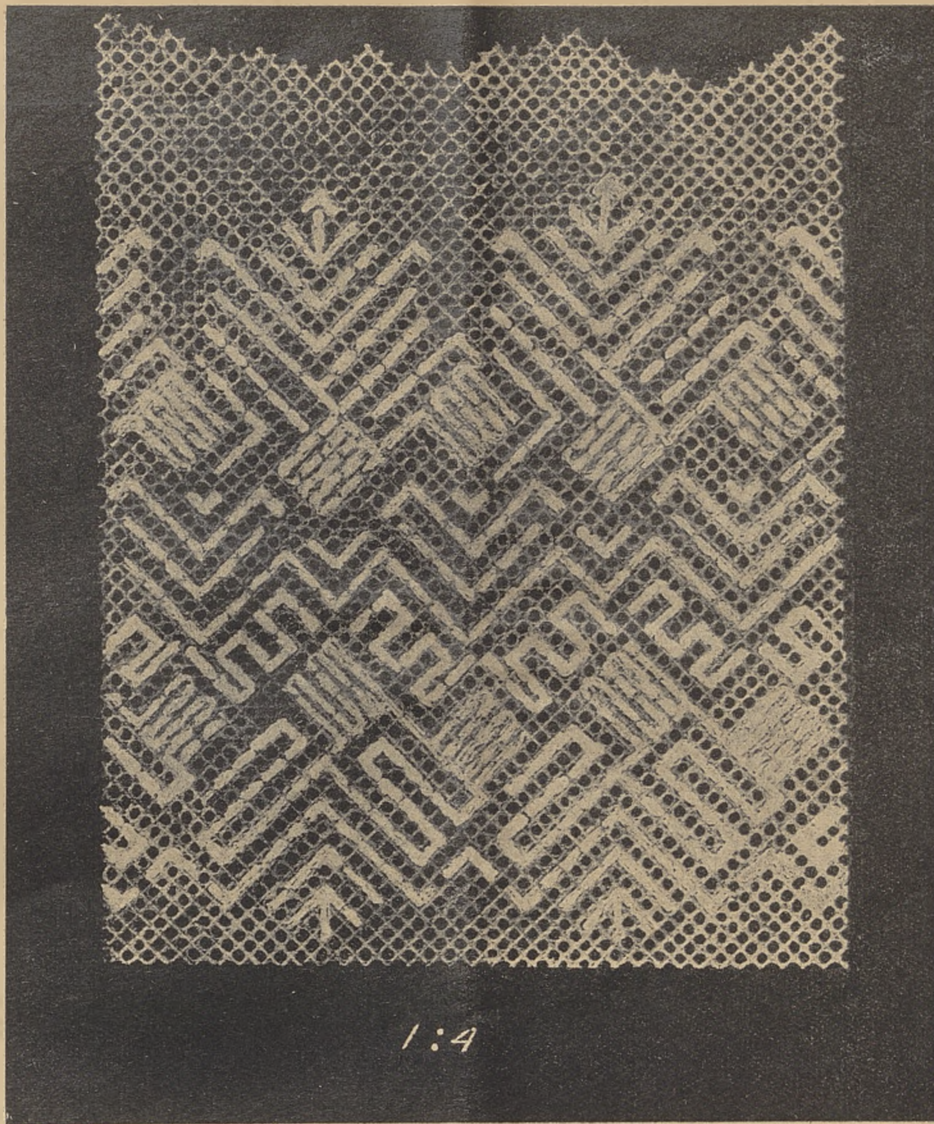
1037 Suknia tailleur z jersey-tweedu: na kamiennem tle zielony deseń. Stanik zapięty na guziczki, kołnierz i wyłogi męskie. Pasek z materjału. Zacięcia na staniku i spódniczce wyzakładkowane. Kapelusz i rękawiczki stonowane.



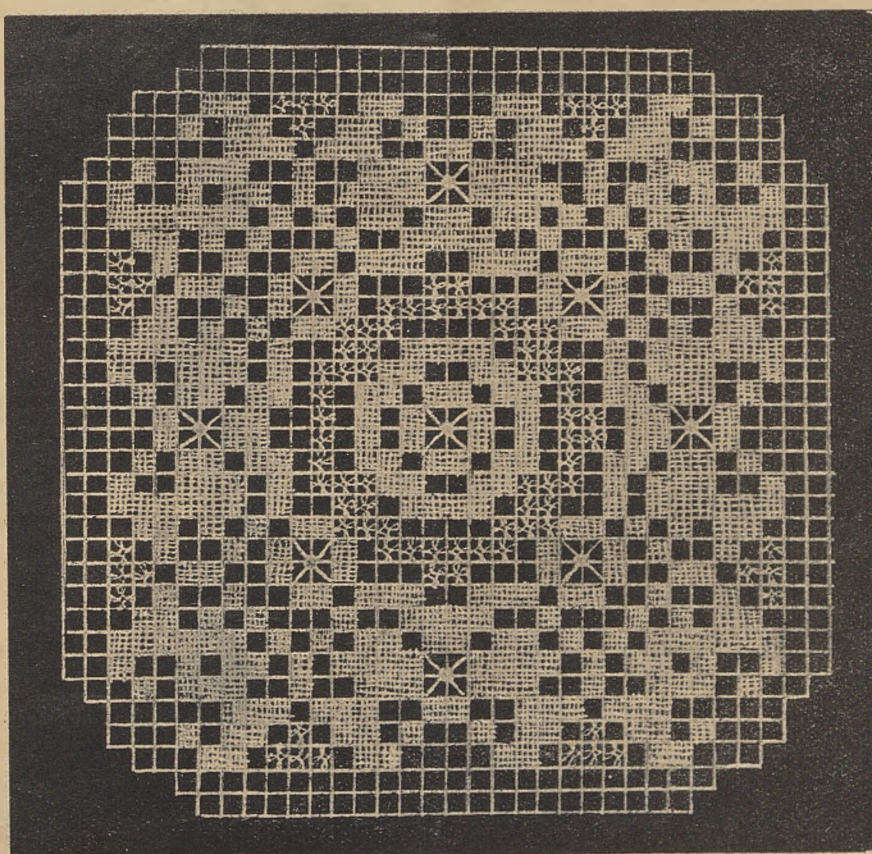
1038 Suknia tailleur z gładkiego jasno-fiołkowego jerseyu. Krój jednolity, dołem wstawiane fałdy. Guziczki, stebny, kapelusz, rękawiczki i pantofelki czarne.

1039 Suknia tailleur z tweedu: na orzechowem tle brunatna krateczka. Stanik zapięty na guzik, zbluzowany szerokim paskiem. Spódniczka kloszowa, odcinana poniżej bioder. Kapelusz, pasek, torebka i pantofelki brunatne.

Najtańsze i najpiękniejsze są tweedy krajowe



Rys. 282. — STORA TIULOWA, wykonana przewlekaniem.
Proj.
prof. St. Kacprowski



Rys. 283. — FILET; motyw naturalnej wielkości do bielizny pościelowej.
Proj.
prof. St. Kacprowski

Sprostowanie:
W nrze 6 zaszła omyłka druku. Serwetka tiulowa rys. 273 ma średnicę 77 cm, a nie 17 cm jak zostało podane.



CHUSTECZKI OZDOBIONE KORONECZKĄ SZYDEŁKOWANĄ

Różne resztki batystu, opalu albo jedwabiu dadzą się użyć na ten cel. Brzeg można zawinąć w rulonik, albo wykończyć mereżką. Specjalne nici do szydełkowania nr. 100 albo 150 i odpowiednie szydełko. Wkłówać tak daleko w brzeg, żeby koroneczka się nie wydzierała.

Rys. 284. — *1 rząd:* 1 ścisłe oczko, 6 oczek w powietrzu i t. d. naokoło. *2 rząd:* 1 śc. o. w łuk z 6 o. w p. poprzedniego rzędu, 2 o. w p., 1 śc. o. w następny łuk, 6 o. w p., 1 śc. o. w nast. łuk, 6 o. w p. i t. d. od początku. *3 rząd:* 1 śc. o. w mały łuk (z 2 oczek w p.), 2 o. w p., 1 śc. o. w duży łuk, 7 o. w p., 1 śc. o. w duży łuk, 2 o. w p. i t. d. *4 rząd:* 2 śc. o. w mały łuk, 1 o. w p., 2 śc. o. w mały łuk, 12 oczek w p., 1 ścisłe oczko w duży łuk, 12 oczek w p. i t. d. *5 rząd:* 1 śc. o. między 4 śc. o. przedzielone 1 o. w p., 8 o. w p., jednem ścisłem oczkiem zebrać 2 kluczki z 12 oczek, 5 o. w p., drugie ścisłe oczko w te same kluczki, 8 o. w p. i t. d.

Rys. 285. — *1 rząd:* 1 śc. o., 6 o. w p. i t. d. *2 rząd:* 3 śc. o. w łuk, 2 o. w p. i t. d. *3 rząd:* 1 śc. o. pod 2 o. w p., 7 o. w p., przejść następne 2 o. w p. i t. d. *4 rząd:* 1 śc. o w śc. o. poprzedniego rzędu, 10 o. w p. i t. d. *5 rząd:* 6 śc. o. w łuk, 5 o. w p., 6 śc. o. w ten sam łuk i t. d.

Rys. 286. — *1 rząd.* 1 śc. o., 7 o. w p. i t. d. *2 rząd:* 4 słupki w każdy łuk, 2 o. w p. i t. d. *3 rząd:* 1 śc. o. między grupy słupków, 6 o. w p. i t. d. *4 rząd:* 3 śc. o. w łuk, 2 o. w p., pikot z 4 o. w p., 2 o. w p. i t. d.

Rys 287. — *1 rząd:* 1 słupek, 3 o. w p. i t. d. *2 rząd* pod 3 o. w p. poprzedniego rzędu 1 słupek, 3 o. w p., 1 sł., 5 o. w p., 1 sł., 3 o. w p., 1 sł. przejść następne 3 o. w p. i powtarzać od początku. *3 rząd:* do każdego łuku z 5 o. w p. 1 sł., 3 o. w p., 1 sł., 5 o. w p., 1 sł., 3 o. w p., 1 sł. i t. d.

Rys. 288. — *1 rząd:* 1 śc. o., 3 o. w p. i t. d. *2 rząd:* 1 śc. o., 3 o. w p., 1 śc. o., 3 o. w p., 1 śc. o., 8 o. w p. i t. d. *3 rząd:* 1 śc. o. w pierwszy mały łuk, 3 o. w p., 1 śc. o. w drugi mały łuk, 10 o. w p i t. d. *4 rząd:* 1 śc. o. w mały łuk, 12 o. w p. i t. d.

Rys. 289. — *1 rząd:* 1 śc. o., 7 o. w p. i t. d. *2 rząd:* 8 śc. o. w łuk, 4 śc. o. w następny łuk, 5 o. w p., obrócić, 1 śc. o. w środek ścisłych o. poprzedn. łuku, obrócić, 4 śc. o. w ten łuk, 4 śc. o. do zapełnienia dolnego łuku i t. d. — obok rys. szczegółu.

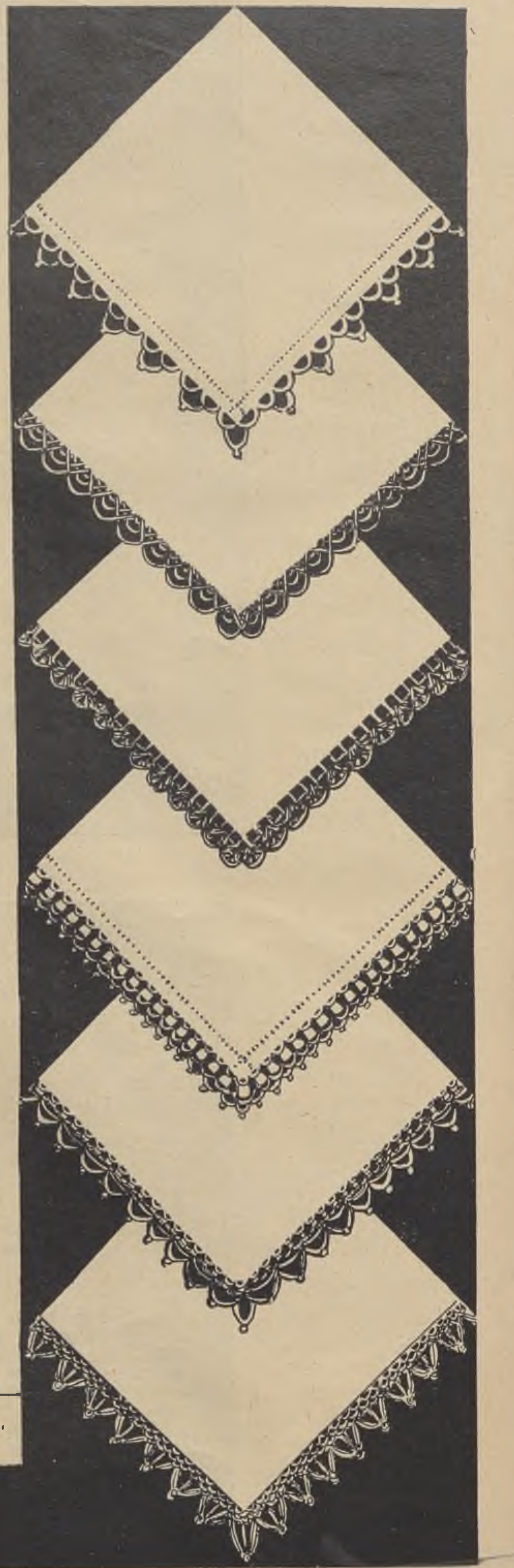
Na rogach należy ścieśnić wzór, jak to uwidoczniono na próbkach.

Koroneczki można wykonać w różnych kolorach, w jakich wytwarzają się nici na ten cel przeznaczone, oraz zależnie od koloru chusteczki.

Proj. Z. K.

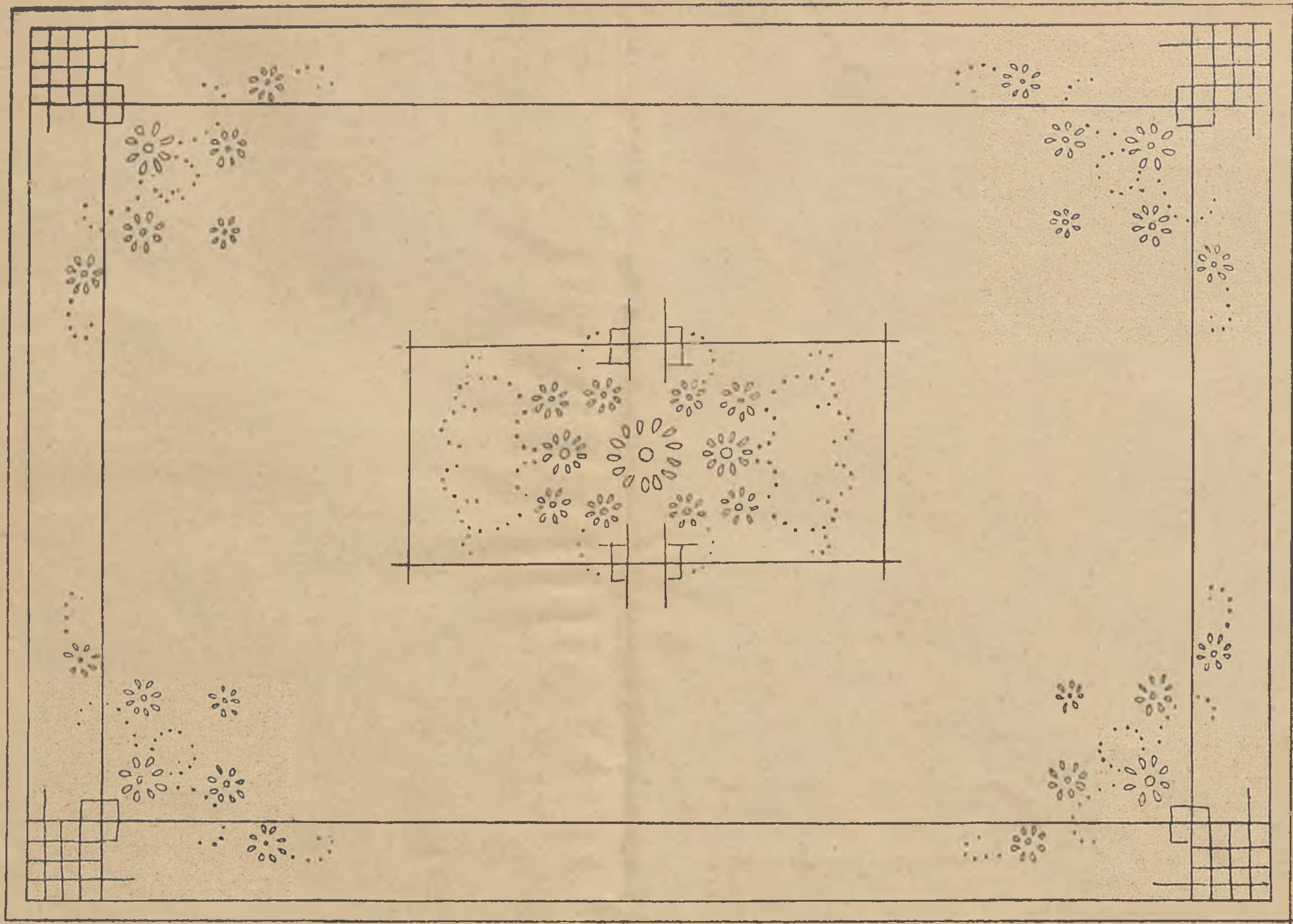








Rys. 290.³ — MAKATA JAPOŃSKA lub SKRZYDŁO PARAWANU (według Bailei). Wielkość naturalna rysunku: 125×55 cm. Wykonanie: relief lub haft gałązkowy srebrem na ciężkim czarnym jedwabiu; może być atłas lub mora. Podbicie z satyny, obszycie makaty srebrnozielonkawym sznurem.
Proj. Z. RADWAŃSKI

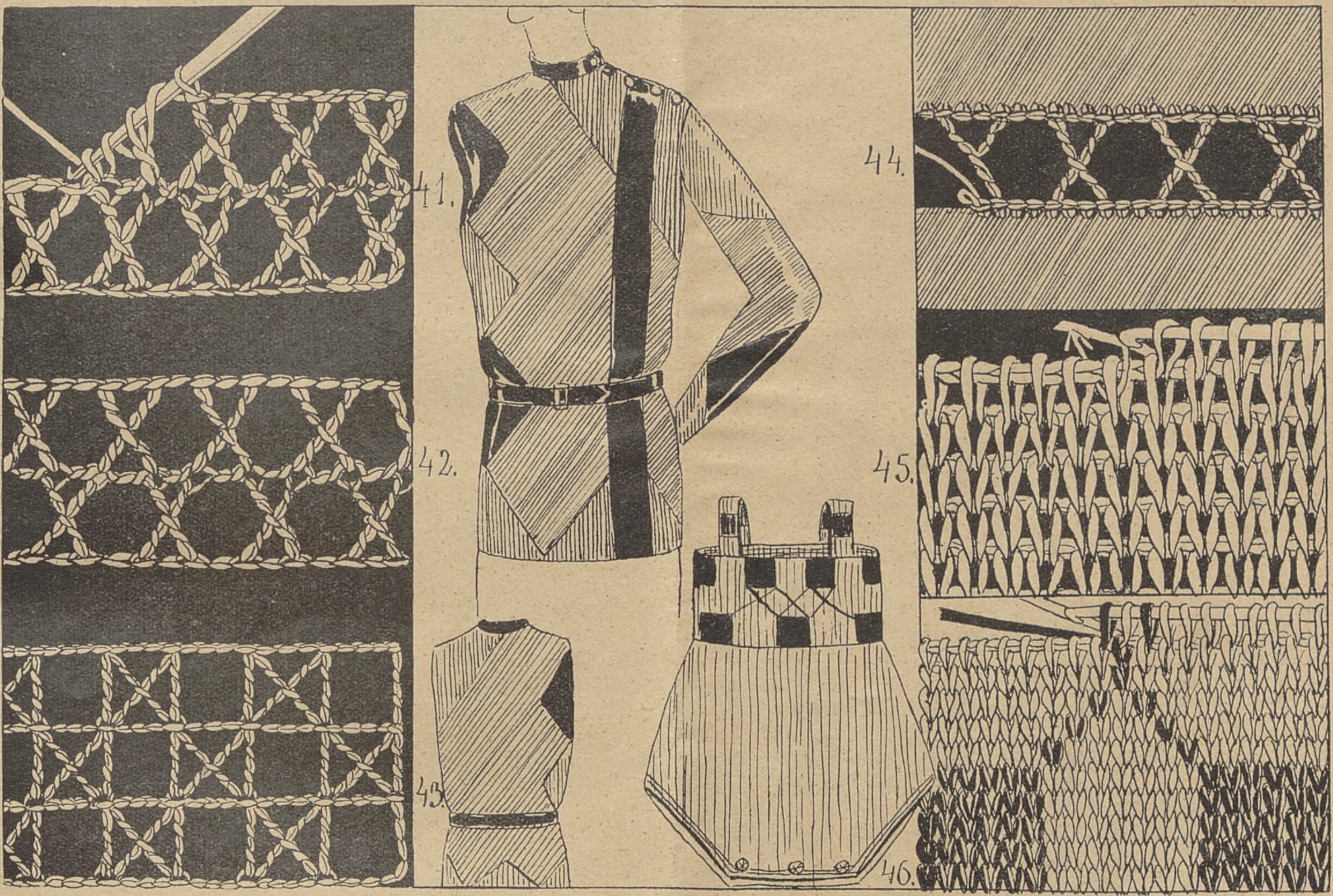


Rys. 291. — SERWETA NA STÓŁ o wymiarach 90×68 cm. Płótno białe lub szare. Ściegi: haft płaski, dziureczki, mereżka.
Proj. J. Skalecka



Rys. 292. — SERWETA NA OKRĄGŁY STÓŁ o średnicy 72 cm. Wykonana na białem, cienkiem, lnianem płótnie lub na batyście, aplikacją z tiulu trochę grubszego niż do bielizny.
Proj. J. Skalecka

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO



Słupki skrzyżowane mogą służyć do wykonania szali, chustek, różnych szlaków, kapek na wózek albo na łóżeczko i wielu innych rzeczy. Łącząc niemi dwie części materjału można stworzyć piękną mereżkę.

Robotę należy rozpocząć oczkami w powietrzu, tworzącemi łańcuszek długości albo szerokości pożądanego przedmiotu. Do tego trzeba dodać 4 nadliczbowe oczka. Wykonać słupek raz nawinięty, wbijając szydełko do piątego oczka od końca, 6 o. w p., następnie 1 słupek w górne oczko poprzedniego słupka, 1 o. w p. To jest początek. Teraz przystępujemy do właściwych słupków skrzyżowanych. Nawinąć nitkę 2 razy na szydełko, wbić je w drugie z rzędu oczko łańcuszka, przewlec, przerobić 2 kluczki, nawinąć raz, przejść jedno oczko łańcuszka, wbić do następnego, przewlec, przerobić przewlekając po 2, wszystkie kluczki znajdujące się na szydełku, rys. 41. Następnie zrobić 1 o. w p. i 1 słupek w miejsce skrzyżowania, 1 o. w p. i t. d. do końca rzędu. Przy obracaniu postępuje się jak na początku, t. j. 3 o. w p., 1 słupek do drugiego słupka poprzedniego rzędu, 6 o. w p., 1 słupek w górne oczko słupka, 1 o. w p.

Skrzyżowane słupki można wykonywać także wyżej i przedzielone większą ilością oczek w powietrzu. Wtedy oczywiście trzeba odpowiednio więcej razy nawijać nitkę na szydełko.

Tkaninę przypominającą tiul — dają słupki skrzyżowane przestawione, rys. 42. Podług rysunku łatwo się zorjentować jak należy wykonać ten wzór.

Bardzo dekoratywny jest wzór w kratkę, skombinowany ze słupków skrzyżowanych i ze słupków dwa razy nawijanych, rys. 43. Rozpocząć jak zwykle łańcuszkiem, dodać 10 oczek. Zrobić 1 słupek 2 razy nawijany do dziesiątego oczka, następnie 1 słupek skrzyżowany przedzielony 3 o. w p., czepiając o oczko, w które zrobiono poprzednio słupek 2 razy nawijany i o czwarte oczko, następnie znowu 1 słupek 2 razy nawijany w to samo czwarte oczko. Trzy o. w p., pominąć 3 o. łańcuszka 1 sł. 2 razy nawij. i t. d. W następnym rzędzie przestawić wzór, przy obracaniu postąpić jak na początku rzędu.

Przy łączeniu 2 części materjału należy brzegi założyć, jeden z nich obrobić ścisłemi oczkami. Drugi wykończa się także ścisłemi oczkami, ale przy jednoczesnem wykonywaniu skrzyżowanych słupków, rys. 44. Słupki te wykonywa się, wbijając szydełko od lewej strony materji, przez co słupki będą robione po lewej stronie, a ścisłe oczka brzegu po prawej stronie.

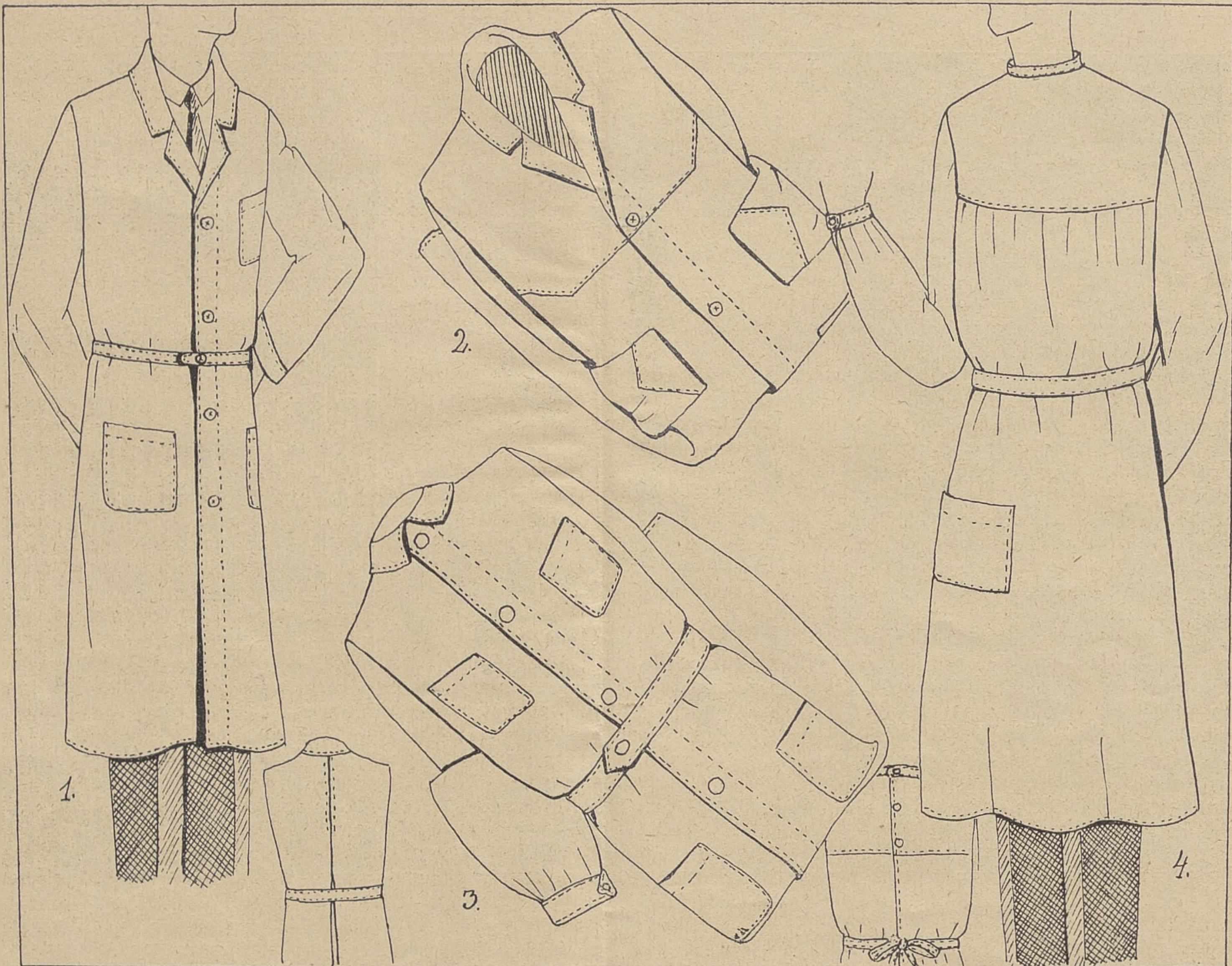
Jeden ze ściegów tunetańskich daje tkaninę podobną do trykotu robionego na drutach, ale gęściejszej. Przy nabieraniu oczek wbija się szydełko, jak uwidoczniono na rys. 45, od przodu ku tyłowi przez pionowe kluczki. Przy przerabianiu postępuje się jak zwykle, przewlekając nitkę zawsze przez 2 oczka.

Rysunek 46 uwidocznia, w jaki sposób można wrabiać kolorowy wzór. Tu nitka, podobnie jak przy innych robotach tego rodzaju, przy zmianie koloru, pozostaje na lewej stronie roboty, aż znowu na nią przyjdzie kolej we wzorze. Należy uważać, żeby nieużytą chwilowo nitką nie ściągnąć roboty.

Zastosowanie tego ściegu uwidoczniają rysunki, przedstawiające modny sweterek i majteczki do zabawy, zapinane w kroku. Brzegi majteczek zabezpieczają ścisłe oczka przed wyciąganiem i odwijaniem się.

Obydwa modele można oczywiście również wykonać na drutach.

Z. KULCZYCKA



PŁASZCZE OCHRONNE

Jako materjał na płaszcze ochronne służy mocne a gęste płótno, albo materja czynowata, lub też croisé. Na normalną wielkość II potrzeba 2½ m podwójnej szerokości, albo 3—3½ m pojedyńczej mniejszej lub większej.

Fason wybiera się zależnie od upodobania albo zawodu. Lekarze-operatorzy chętnie posługują się płaszczami ztyłu zapiętemi, co jest bardzo słuszne, zaś w innych zawodach widzi się więcej płaszczów zapiętych zprzodu. Te zaś można wykonać zapięte pod szyję albo wycięte.

Uszycie płaszcza ochronnego nie przedstawia trudności. Po skrojeniu należy przyszyć kieszenie, następnie wykończyć u przodów brzegi dość szerokim pasem materji, ażeby wyłogi były dostatecznie pokryte. Pasy te można skroić rozszerzone ku górze. Przyszywa się je na wywrót, po odwróceniu przystebnowuje na lewej stronie. Przed zeszyciem przodów z wykończonemi również plecami, obdziergać dziurki. Szwy podszewkowe powinny być wykonane na prawej stronie. Rękawy, wykończone nastebnowanym mankietem, albo obszewką, wszyć również szwem podszewkowym. Podwójny kołnierzyk wszyć po wyciągnięciu dolnego brzegu na karku. Nakoniec założyć dolny brzeg i obstebnować wszystkie brzegi naokoło.

Płaszcze można, oczywiście, nosić z paskiem lub bez. Plecy mogą być gładkie albo ułożone w kontrafałd do środka.

Podajemy 4 różne fasony. Rys. 2 przedstawia płaszczyk krótki, który zazwyczaj nosi się bez paska. Na żądanie kroje do wszystkich fasonów.

Z. KULCZYCKA

O CELOWOŚCI UMOWY ZE SŁUŻBĄ

Jak poważne refleksje nasuwa nam poziom moralny służby dzisiejszej, dość przejrzeć rubryki wypadków. Przyczyn tego rozluźnienia, nie bez słuszności, ogół społeczeństwa doszukuje się w nierozważnem zniesieniu wszelkiej kontroli, gdyż obecnie dziewczęta „godzące się do obowiązku“ nie przedkładają żadnych dowodów osobistych, a książeczki służbowe dawno już zostały skasowane, jako uwłaczające godności osobistej.

Dzięki tym z gruntu fałszywym rozumowaniom, do zastępów dawnej wzorowej i wyszkolonej służby umożliwiony został dostęp elementowi niepowołanemu, którego obecność oraz wpływ destrukcyjny przyczyniły się znacznie do obniżenia poziomu dzisiejszej służby, a przedewszystkiem ukształtowały obecne ustosunkowanie się pań gospodyń do sił najemnych pomocnic. Pragnąc uzdrowić stale pogarszające się warunki wzajemnego obcowania i współpracy, Sekcja służby domowej Koła Studjów Gospodarstwa Domowego w Warszawie przedsięwzięła ożywioną akcję w tym kierunku. Celem sekcji jest stopniowa poprawa stosunków w tej dziedzinie w imię wspólnego dobra pań i służących. Bo zarówno trudno wymagać od pani, aby darzyła bezwzględnem zaufaniem jednostkę bez dowodów, sprowadzającą się pod dach jej domu, jak i trudno dziwić się służącej rzeczywiście uczciwej i obowiązkowej, aby nie zrażały jej okazywane na każdym kroku dowody nieukrywanego braku zaufania, lub wręcz podejrzliwości.

Dlatego też sekcja służby domowej Koła S. G. D. w celu ujednostajnienia stosunków pań do służby domowej zaproponowała powrót do książeczek służbowych, które bynajmniej za hańbiące uważane być nie mogą, gdyż są niczem innem jak zwykłą legitymacją służbową, przed którą żaden urzędnik się nie uchyla, a pozatem wypracowała dwa schematy. Jeden to wzór umowy ze służącą przy jej godzeniu, a drugi — wzór świadectwa służbowego, przy opuszczaniu obowiązku.

Przyczem w świadectwach rozróżnia się dwa rodzaje: 1) zaświadczenie, na mocy którego stwierdzamy, że dana służąca u nas służy i że z naszą wiedzą poszukuje sobie innego miejsca; 2) świadectwo, którego wzór podano, wydaje się po opuszczeniu przez nią służby i dokładnem sprawdzeniu czy wszystkie punkty umowy zostały przez służącą należycie dochowane. To uzasadnienie dostatecznie chyba stwierdza celowość zawieranych umów ze służbą.

Wzór umowy:

1) Należy przejrzeć dokładnie świadectwa, zbadać powody ewentualnych przerw w ciągłości służby (od wyników uzależniamy dalszą rozmowę z kandydatką).

2) Zażądać książeczki z Kasy Chorych (o ile dziewczyna jej nie posiada, uprzedzić, że ją sobie u nas wyrobić musi jak najszybciej!).

3) Zażądać dowodu osobistego z fotografją (jeśli służąca posiada tylko metrykę, zaznaczyć iż umawia się ją niechętnie i tym sposobem bynajmniej nie zwalnia od natychmiastowego zajęcia się wyrobieniem dokumentu osobistego).

4) Podać do wiadomości kandydatki ilość osób w domu (ewentualnie sublokatorów) do obsługi.

5) Określić obowiązki jej względem małych dzieci w domu.

6) Względem posiadanych w domu zwierząt.

7) Podać ilość pokojów do sprzątania.

8) Omówić sprawę pomieszczenia służącej (pokoik oddzielny, czy kuchnia, szafa na rzeczy).

9) Zbadać uzdolnienie kandydatki w gotowaniu.

10) Określić ściśle godziny posiłków, zaznaczając czy domownicy jadają obiad razem, czy też podaje się go kilkakrotnie, oraz czy kolacja bywa gotowana.

11) Zapytać o umiejętność prania.

12) Określić jasno czy wymagać się będzie od służącej „prania dużego”, czy też przepierki.

13) Poruszyć sprawę noszenia węgla (czy węgiel przynoszą nam do kuchni, czy też służąca ma go nosić z piwnicy).

14) Określić zgóry odnośnie do porządków sezonowych i gruntownych, czy dajemy służącej pomoc i ewentualnie jaką, wymieniając jednocześnie posiadane przyrządy ułatwiające tę pracę jak: odkurzacze, szczotki do okien i t. p.

15) Określić definitywnie sprawę godzin, w jakich zaczyna się i kończy zwykła dzienna praca w domu (zastrzegając jednak wyjątki).

16) Poruszyć kwestję codziennych posiłków służącej, nadmieniając, że będą one obfite, ale proste i że grymasy w jedzeniu uwzględniane nie będą.

17) Uprzedzić, że jeśli służąca będzie robiła częste szkody w domu przez niedbalstwo i niestosowanie się do naszych uwag, przynajmniej połowę równowartości zniszczonych przedmiotów potrąci się jej z pensji.

18) Określić wymagania co do ubrania żądanego od służącej (fartuchy, czepki do sprzątania i gotowania, czarna sukienka, fartuszki białe i czółka) do usługi w pokojach. Przedmioty te bywają częściowo własnością domu.

19) Uprzedzić kandydatkę o możności bywania w kościele co niedziela.

20) Uregulować sprawę wychodzenia służącej (prawo zwyczajowe przyznaje służącej „wychodne“ co drugą niedzielę z uwzględnieniem wyjścia raz w tygodniu w celach osobistych w razie istotnej potrzeby).

21) Poruszyć sprawę urlopów (pożądane udzielenie 8-mio dniowego urlopu po roku służby).

22) Zadecydować, czy wolno będzie służącą odwiedzać jej znajomym, ewentualnie komu i kiedy.

23) Zapytać czy kandydatka umie czytać i pisać (punkt niezmiernie ważny przy wprowadzaniu zasad naukowej organizacji).

24) Ustalić wysokość wynagrodzenia i termin jego płatności (najlepiej płacić miesięcznie).

25) Wkońcu sprawdzić osobiście świadectwa, przynajmniej ostatnie. — Poruszenie punktów powyższych uznane zostało przez sekcję służby domowej Koła S. G. D. za konieczne ze względów zasadniczych, gdyż będą one mogły uchronić wiele gospodyń od przykrych rozczarowań, w służbie zaś domowej wyrobią powoli poszanowanie dla stawianych jej warunków i wymagań, poczem staną się one metodą, a nie będą jak dotychczas uzależnione od indywidualności pań oraz warunków jakiemi poszczególne gospodynie rozporządzają.

Wzór świadectwa służbowego:

Imię i nazwisko . . . .

Pracowała u mnie od . . . . . do . . . . .
w charakterze stałej (przychodniej) jako kucharka, pokojowa, służąca do wszystkiego, niania.

1) Stopień kwalifikacyj . . . .

2) Wywiązywała się z obowiązków . . . . . .

3) Przymioty osobiste . . . .

W punkcie 3-cim bierze się pod uwagę: uczciwość, moralność, posłuszeństwo, łagodność, uprzejmość w obejściu.

Nazwisko pracodawcy . . . .

Adres . . . .

Telefon . . . .

Data . . . .

Uwaga: W razie gdy pani nie uważa za wskazane wypełnianie całego schematu, należy wypełnić tylko część urzędową powyższego świadectwa, ocenę danej jednostki dyskretnie przemilczając.

MARJA ANKIEWICZOWA

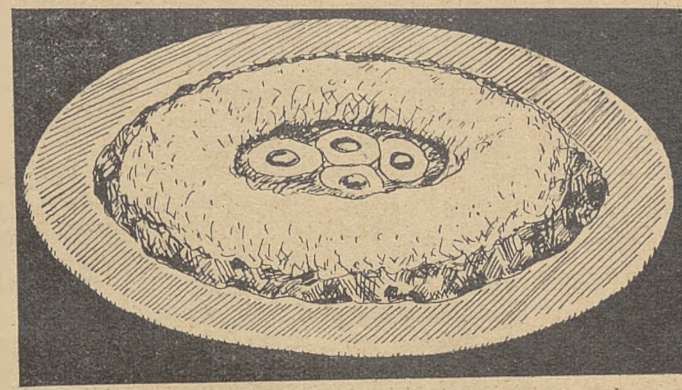
DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

STANDARYZACJA NACZYŃ. Za granicą dąży się do standaryzacji artykułów codziennego użytku, gdyż masowo wytwarzane według jednego szablonu są daleko tańsze i tem samem dostępne dla wszystkich. Ale jeszcze inne względy przemawiają

za standaryzacją. Jeśli wszystkie fabryki np. naczyń zaczną wyrabiać naczynia jednego typu i kształtu, będzie to znacznem ułatwieniem dla gospodyń, gdyż części składowe maszynek, pokrywki i t. p. dadzą się zastosować do wszystkich wyrobów różnych wytwórni. Szczególnie można odczuć tę wygodę np. przy słojach do konserwowania owoców, jarzyn i mięs. Dotychczas istniało i istnieje jeszcze tu i ówdzie mnóstwo gatunków i kształtów szkieł. Gdy pokrywka się zbije albo gdy zabraknie gumowej obręczy, trudno dobrać brakującą część, jeśli niema na składzie naczyń tego samego typu. To samo tyczy się naczyń polewanych albo aluminjowych. Przeróżne typy i wielkości pokrywek wprowadzają niekiedy w kłopot. Składowe części różnych maszynek, choć napozór jednego typu, różnią się czasem o milimetr, co utrudnia zastąpienie ich w razie zniszczenia.

JAJA PO TYROLSKU. Małą puszkę konserwy pomidorowej włożyć do rondla, na to warstwę ugotowanego ryżu. Ogrzać, posolić, popieprzyć i posypać potłuczoną gałką muszkatułową



oraz papryką. W środku zrobić wgłębienie aż do dna, nalać stopionego masła, rozbić 3 do 4 jaja, wieniec z ryżu posypać tartym parmezanem i postawić na 5 minut do gorącej rury. Przed podaniem posypać posiekanym szczypiorkiem.

NADZIEWANE CEBULE. Duże cebule oczyścić i obrać. Ugotować w solonej wodzie, co trwa około 15 minut, przelać zimną wodą, wydrążyć i nadziać posiekanem mięsem przygotowanem jak na sznycle albo ryżem z grzybkami. Ustawić w rondlu, zalać rosołem albo smakiem z jarzyn, posolić i włożyć kawałek masła. Nakryć i dusić powoli. Nakoniec zaprawić sos śmietaną i wedle upodobania sokiem cytrynowym. Odrobina wina poprawia smak.

BUDYŃ Z JAJ. Do formy budyniowej wlać 12 dkg wysmażonej i pokrajanej w kostkę słoniny. Trzy jaja rozkłócić w ½ l mleka, dodać ½ l mąki, soli, pieprzu, posiekanego szczypiórku i paczkę proszku drożdżowego. Wlać do formy i wypiec.

Wytwórnie, standaryzując swe wyroby, nie tracą na tem, gdyż chociaż kształtem i typem jednakowe, różnią się gatunkiem i wykonaniem, co zabezpiecza pewną odrębność i każdej firmie zabezpieczy pewną ilość zwolenników.

Każda dbająca o zbyt firma chętnie uwzględni życzenia gospodyń, które jednakowoż zazwyczaj są za bierne, żeby je przedstawić i wolą cierpieć niewygody, jak zdobyć się na apel. Trzebaby pomyśleć o zmianie pod tym względem.

DLA JAROSZÓW: BUDYŃ ZE SOCZEWICY. Namoczyć wieczorem 50 dkg soczewicy, na drugi dzień zagotować, odlać wodę, nalać innej wrzącej (z zimnej owoce strączkowe twardnieją) i go-

tować do miękkości z dużą cebulą i listkiem bobkowym. Następnie przetrzeć przez sito, dodać soli, szczyptę papryki, 2 jaja, łyżkę stopionego masła albo 2 łyżki oliwy i odrobinę majeranku, jeśli kto lubi. Włożyć do wysmarowanej formy, pokropić masłem i piec. Podać ze sosem pomidorowym (konserwa). Do tego stosowna sałatka z kiszonej kapusty.

KOTLECIKI ZE SOCZEWICY. Ugotować soczewicę jak wyżej. Przetrzeć, posolić, popieprzyć, dodać stopionego masła, jaja, formować kotleciki, maczać w jajku i bułeczce, usmażyć i podać z kapustą.

BITE ZRAZY NADZIEWANE KISZONĄ KAPUSTĄ. Dusić kapustę z odrobiną smalcu. Osobno przysmażyć kostki słoniny i pokrajaną cebulę, ale nie zrumienić, dodać do kapusty wraz

z kilkoma utartemi ugotowanemi kartoflami. Posolić masę i popieprzyć do smaku i napełnić nią bite zrazy, zwinąć, owiązać, przysmażyć a następnie dusić do miękkości.

TOWAROZNAWSTWO

Obrazy oszklone powinny być na odwrotnej stronie zabezpieczone tekturą i szczelnie zaklejone papierem, dla ochrony przed kurzem i owadami — które mogą się dostać między szkło a obraz — i przed wilgocią ścian.

Zarzucono już wieszanie obrazów na sznurach, zwisających z drążków, umieszczonych pod sufitem, gdyż wrażenie nie było estetyczne. Dla uniknięcia uszkodzenia ścian przez gwoździe należy używać mosiężnych haków przytwierdzonych do ściany za-

pomocą gwoździków-igiełek, znanych w handlu pod nazwą szwedzkich haczków.

Mówiąc o zdobieniu ścian nie pominiemy kwestji malowania i tapetowania.

Za malowaniem przemawia fakt, że ściany nie tracą przez nie na porowatości, która znowuż jest ważna dla stałego przewietrzania domów.

Malowanie jest niezbyt drogie, wobec czego można je częściej zmieniać, i zazwyczaj nie płowieje.

Z drugiej strony ma tę ujemną cechę, że jest nieco chropawe, wskutek czego kurz osadza się na niem, a także uszkodzić je łatwiej.

Jakkolwiek zakazano wytwarzania i używania szkodliwych dla zdrowia farb — jak arszenikowe albo śniedziowe — zdarza się zawsze jeszcze, że z nieświadomości ktoś je zastosuje. Ostrzega się w szczególności przed zielonemi farbami.

Trwałość malowidła zależy od jakości farby i jej domieszek oraz od przygotowania tła. Na ścianie bielonej wapnem, farba nie chwyta albo wkrótce odpada i łuszczy się.

Malarze dodają do farb karuku, kleju z mąki żytniej, mleka, roztartego sera i t. p. Im więcej takiego środka spajającego dodają, tem trwalsze będzie malowidło i tem mniej będzie się ścierało.

W nowych domach, wytwornie wykończonych, nie używa się już szablonów do malowania ścian, tylko maluje się je według projektów artystów „z wolnej ręki", przyczem motyw nie powtarza się serjami, tylko jest tu i ówdzie rzucony, a często zastępuje obraz, albo stanowi tło lub ramy indywidualne dla sprzętów.

Przy stosowaniu szablonów unika się wzorów jaskrawych, dużych i pstrych, gdyż takie dają tło niespokojne i optycznie zmniejszają pokoje.

Kwiaty coraz rzadziej służą jako motyw.

Częściej widuje się drobne ornamenty albo delikatne gałązki, słabo odbijające od tła i tworzące spokojny, harmonijny rysunek. Poprzeczne pasy i zygzaki delikatnie stonowane, zmierzają do wywołania złudzenia, że pokój jest niższy jak w istocie. Jest to charakterystyczna cecha obecnego kierunku, gdyż do niedawna właśnie starano się podłużnemi linjami dać złudzenie wysokości. Nie znaczy to jednak, że maluje się niskie pokoje bezwzględnie wpoprzek! Choć ludzie przyszli do przekonania, że bardzo wyso-

Zwalczajmy starzenie się rąk

1013

Zbyt mało jeszcze uwagi zwracamy na pielęgnowanie rąk, aczkolwiek zwiastunem starzenia się bywa często marnienie skóry ich grzbietów. Cienkość pomarszczonej skóry rąk zdradza niedyskretnie zbliżającą się zimę doczesnej wędrówki. Zaznaczam, że ochudzaniem ciała wywołuje się przedwcześnie objawy starzejących się rąk. Zwyczaj powierzchownego wcierania kremu lub — co gorsza — gliceryny jest bezcelowy względnie wręcz szkodliwy. Skóra rąk wymaga stałego ożywiania masażem zapomocą ożywczego kremu, tudzież dowozu ciepła. W tym celu zanurza się ręce codziennie na parę minut do gorącej wody a po osuszeniu masuje się ożywczym kremem „Oxa" Dra Lustra od końców palców ku górze. Po wymasowaniu kąpie się ręce znów w gorącej wodzie, poczem zmywa się krem mydłem śmietankowem „Miraculum". Posługując się zapobiegawczo tą metodą utrzymać można młodocianą skórę do późnego wieku. Podstarzałe ręce doprowadza się do soczystości tą samą metodą, atoli wskazane są dodatkowo okłady gorącem mlekiem. W dzień wcierać krem „Mira" Dra Lustra. Dr Z. B.

kie pokoje nie są przytulne; zbyt niskie podwyższa się nadal optycznie podłużnym rysunkiem malowidła.

Tapety, które nakleja się na jedną albo dwie warstwy papieru, zatrzymują ciepło w mieszkaniu, gdyż — jak wiadomo — papier jest złym przewodnikiem ciepła. Tę właściwość można wyzyskać w domach, wystawionych na wiatry i zimno. Dobry gatunek tapet jest bardzo trwały, a obecnie gwarantują już za niepłowienie droższych wyrobów. Na tapetach nie osiada kurz tak łatwo jak na chropawych ścianach. Można je dość łatwo czyścić, a wręcz niezniszczalne są tapety do zmywania, szczególnie stosowne do pokoju dziecięcego i do przedpokoju. Liche gatunki tapet natomiast żółkną i płowieją szybko.

Im grubszy i gęściejszy jest papier tapet, tem oczywiście trwalszy. Wystarczy pod nie jedna warstwa podklejonego papieru.

Ujemną stroną jest w niektórych wypadkach zbytnie uszczelnienie ścian. Domów niedawno zbudowanych nie można tapetować, gdyż wilgoć, wydobywająca się jeszcze ze ścian przez dłuższy czas, zniszczyłaby tapety i spowodowałaby nawet pleśnienie kleju. Rzecz jasna, że z tych samych powodów nie można powlec tapetą ścian nieco wilgotnych, gdyż nawet papa izolacyjna nie daje dostatecznej ochrony. Wobec tego, że papy nie można przyklejać, tylko przybić gwoździkami, zachodzi obawa, że gwoździki pod wpływem wilgoci zardzewieją i zniszczą tapety, co się dość często zdarza.

Nie można polecać tapetowania sufitów, gdyż łatwiej pomalować pożółkły sufit, jak nanowo wytapetować. Jak wiadomo, sufit prędzej ulega zanieczyszczeniu przez dym papierosów, palenie w piecach i t. p., gdyż nie każdy posiada centralne ogrzewanie. Zaś białe tapety szybko ulegają zniszczeniu.

Kto nie potrzebuje się liczyć z chwilową — choć pozorną — oszczędnością, ten wybiera lepszy gatunek tapety, gdyż oszczędzi jedną warstwę podklejania, a trwałość i estetyczny wygląd wynagrodzi większy chwilowo wydatek. Liche tapety tracą w najlepszym wypadku za 3—4 lata albo i prędzej swą świeżość, gdy dobre gatunki przetrwają i kilkanaście lat.

Tapety t. zw. skórzane, imitujące skórę albo boazerję, są bardzo trwałe i stosowne do klatek schodowych, przedpokojów, poczekalni i t. p. ubikacyj, zaś w jadalni albo gabinecie nie świadczą o dobrym smaku, gdyż w obecnem urządzeniu żadna rzecz nie powinna udawać czegoś, czem nie jest.

Tapetom zarzuca się często, że są siedliskiem robactwa, osobliwie pluskiew. Oczywiście w starych kamienicach niezbyt czysto utrzymanych, gdzie mieszkańcy często się zmieniają i przy-

noszą ze sobą zarodki robactwa, tapety są niepraktyczne. Nie można bowiem inaczej wytrzebić tych szkodników, jak tylko przez zdarcie tapet. Tak samo nieodpowiednie są tapety w pokojach, w których mieszczą się chorzy. Dezynfekowanie jest bowiem utrudnione i często nadwyręża dobry wygląd tapet.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

ECHA Z AFRYKI. Za pośrednictwem red. „Świata Kobiecego" dyrektorka „Foyer du Soldat" w Fezie przesyła serdeczne podziękowanie za paczki spóźnione przeszło o 2 miesiące z darami gwiazdkowemi dla Polaków z Legji Cudz. — p. M. Kowalskiej z Olkusza (ciepła bielizna, chustki do nosa, czekolada), oraz Kołu Młodzieży Czerw. Krzyża w Grodnie za album i listy. Ta ostatnia paczka była otwarta na poczcie i może zawierała inne przedmioty, lecz wobec braku ich spisu reklamacja była niemożliwa.

Legjoniści polscy z „depôt" w Oranie gorąco dziękują za otrzymane wkońcu lutego od pp. H. Schwarcówny i W. Reczyńskiej z Okocimia miłe dary — ciepłe skarpetki, notesy, papier listowy, czekoladę i książki, p. A. Rutkowskiej z Sanoka i uczenicom kl. V c gimn. im. król. Jadwigi we Lwowie za książki, które im pozwalają choćby myślą stęsknioną przenieść się do drogiej Ojczyzny, a także za ilustracje przesłane przez panie, których nazwisk z powodu uszkodzenia opakowania nie można odczytać.

Panie, które wysłały gwiazdkowe paczki do Bedeau, proszone są o łaskawe podanie swych nazwisk, adresów, oraz dokładnego spisu rzeczy wysłanych w celu pewnych wyjaśnień, a także panie, które „zaopatrzyły w gwiazdkę Legjonistów Polskich z Sidi bel Abbes o podanie wyłącznie swych nazwisk do red. „Świata Kobiecego".

ZMARTWIONA PRENUMERATORKA. — 1. Powinna Pani natychmiast zasięgnąć porady lekarskiej u specjalisty od krtani. 2. Jeśli lekarz orzekł, że serce chore, a Pani mimo to stosuje środki zeszczuplające, trzeba to nazwać lekkomyślnością. 3. Tylko elektroliza usuwa włosy na stałe. Środki chemiczne działają przejściowo. 4. Z opisu wnioskując, łupież jest suchy.

PAULINA W. — Niesłuszne narzekania, gdyż w Polsce istnieje typ takiego czasopisma, jakiego brak Pani odczuwa. Podajemy adres: Organizacja Gospodarstwa Domowego, Warszawa, Mokotowska 51/53. Polecamy je Pani, i wszystkim naszym Czytelniczkom, jak najgoręcej; jest wzorowo redagowane, uwzględnia wszystkie niedomagania w gospodarstwie domowem i podaje cenne wiadomości z dziedziny najnowszych ulepszeń oraz ułatwień w pracy domowej. Niska cena abonamentu (zł 4,20 kwartalnie) jest w ogólnym budżecie bez znaczenia wobec olbrzymich korzyści higjenicznych i oszczędnościowych, jakie to czasopismo przynosi.

ESTETKA. — Już ubiegłego roku zaznaczyliśmy wcale niedwuznacznie nasze zapatrywania na konkursy piękności. Uważamy, że tego rodzaju walki konkurencyjne i ich metody, oraz wystawianie swych wdzięków na pokaz publiczny, poddawanie ich ocenie sądów i publiczności — jest poniżej godności człowieczej. Coś niby targowisko pięknych niewolnic. Doświadczenie poucza, że tak nienagrodzonym, jak i nagrodzonym panienkom,

przewraca się w główkach, zaczynają udzielać wywiadów o jakichś misjach narodowych, o propagandach polskości... Poprostu ratują Polskę z toni, z zapomnienia, z pokrzywdzenia. A wszystko to za przyczyną pięknej twarzyczki i rozkosznych podróży po świecie. Byłoby to arcyzabawne, gdyby nie pożałowania godne. Fakt to znany w całym świecie, że Polska ma ładne kobiety — mają je i inne kraje. Ale Marję Skłodowską-Curie ma tylko Polska. Jakże tę uczcić, w jakich słowach pisać o niej?

A ona sama, kobieta genjalna i dobroczyńca ludzkości, jak skromnie i mało o sobie mówi. Dzielnych, mądrych, zasłużonych kobiet mamy dużo, ale któż się niemi tak bardzo entuzjazmuje; raz wczas umieści jakieś pismo kobiece wzmiankę, sylwetkę — i koniec. Fotografje Miss Polonji były we wszystkich pismach codziennych, tygodnikach, miesięcznikach. Były wywiady, były jej odezwy (manifesty do narodu), były jej listy, były autografy, były dyskusje, wspomnienia, sprawozdania. Istnieją nawet etykietki kremów piękności z Miss Polonją. Pocóżby więc o czemś tak rozpowszechnionem miał pisać „Świat Kobiecy", zwłaszcza wobec swoich zapatrywań.— Na zakończenie wyjaśnień dodajemy, że o ile dorosłe osoby uważają za stosowne brać udział w konkursach piękności — jest to ich prywatną sprawą. Ale gdy chodzi o dziecięce konkursy piękności — niema dość ostrych słów na napiętnowanie lekkomyślności rodziców. Jest to najlepsza szkoła próżności i deprawowanie naiwnych dusz dziecięcych.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34